Powiew Romantyzmu

4

Ciechanowskie Zeszyty Literackie

Powiew Romantyzmu

Ciechanowskie Zeszyty Literackie Nr 4

Związek Literatów Polskich
Oddział w Ciechanowie

Ciechanów 2002

Redaktor:
Teresa Kaczorowska

Kolegium redakcyjne:
Teresa Kaczorowska, Henryk Kaczorowski, Stanisław Kęsik

Redakcja graficzna, projekt okładki:
Robert Kołakowski

Korekta:
Alina Zielińska

Tom wydany przy wsparciu finansowym
Urzędu Miasta w Ciechanowie

ISBN 83-915905-8-5

Skład, łamanie i druk: Zakład Poligraficzny „Graf-Druk"
Ciechanów, ul. Gostkowska 39 L

Od redakcji

Cieszymy się, że możemy zaprezentować kolejny, już czwarty zeszyt literacki Oddziału Związku Literatów Polskich w Ciechanowie. Jak zwykle przygotowany społecznie, a wydany przy pomocy finansowej Urzędu Miasta. Dzięki tej współpracy tworzy się ciechanowskie pismo literackie, ukazujące się jako rocznik, które staje się coraz bardziej znane w środowiskach literackich całego kraju. Zdecydowana większość z 21 istniejących w kraju oddziałów Związku Literatów Polskich nie może pochwalić się takim literackim periodykiem.

Przypomnijmy, że Oddział ZLP w Ciechanowie należy do najmłodszych w Polsce; powstał w październiku 1997 r. Jego pierwsi członkowie to: Janina Boniakowska, Alfred Borkowski, Teresa Kaczorowska, Stanisław Kęsik i Grzegorz Roszko. Stopniowo nasze grono powiększa się, obecnie jest już nas dziewięcioro, gdyż w 2002 r. komisja kwalifikacyjna ZG ZLP w Warszawie przyjęła w nasze szeregi kolejną nową poetkę - Hannę Jolantę Wiśniewską z Działdowa. Prawdopodobnie za rok znowu będziemy silniejsi, bo dwoje kolejnych poetów już ubiega się w stolicy o przyjęcie do naszego oddziału Związku Literatów Polskich.

Przybywa nam nie tylko członków, ale także utworów, doświadczeń, kontaktów; dlatego i zeszyty literackie stają się coraz bogatsze, bardziej ambitne i ciekawe. W tegorocznym prezentuje prozę i poezję aż 26 autorów, i to nie tylko z kręgu Związku Literatów Polskich, i nie tylko z naszego regionu. Po raz drugi zaprosiliśmy do współpracy inne istniejące na ziemi ciechanowskiej ugrupowanie literackie - Mazowiecki Oddział Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza w Opinogórze, a po raz trzeci ludzi pióra z Mazowsza, kraju i z zagranicy.

Każdego roku nasz rocznik skupia się na określonym temacie, w 2002 roku jest nim romantyzm, a to głównie z okazji 190. rocznicy urodzin Zygmunta Krasińskiego oraz wydarzeń w Muzeum Romantyzmu w Opinogórze: sesji naukowej i wystawy malarstwa romantycznego. Stąd wiodącymi tekstami w tym

zeszycie literackim są szkice naukowe trzech autorów: prof. Zbigniewa Lisowskiego, dra Henryka Kaczorowskiego oraz dyrektora Muzeum Romantyzmu Janusza Królika. Teksty te przybliżają główne przesłanie twórczości trzeciego wieszcza, jego wciąż aktualne myśli, przepowiednie i poglądy oraz powrót na należne mu miejsce w literaturze, a także skomplikowane i niełatwe związki Zygmunta z ojcem, generałem Wincentym Krasińskim. Tematykę romantyzmu uzupełnia pomysłowa legenda o Opinie i wojewodziance, pióra ciechanowskiego prozaika Alfreda Borkowskiego, reportaż Teresy Kaczorowskiej o jednym z mieszkańców Opinogóry, który stracił ojca, jeńca Ostaszkowa w Miednoje, a także kilka utworów poetyckich o Opinogórze.

Tematyka romantyczna stanowi tylko pierwszą część tego zeszytu. W drugiej swą twórczością dzielą się ciechanowscy literaci. Trzecią część tego periodyku stanowią, jak zwykle, strony gościnne. Z naszego regionu czytelnicy znajdą tam utwory Ewy Stangrodzkiej, Zenony Cieślak-Szymanik, debiutanta Adama Załęskiego i Stefana Żagla z Ciechanowa oraz Stefana Chojnowskiego z Sobokleszcza, ale Mazowsze reprezentują też wiersze Izy Filipek i Jerzego Stanisława Czajkowskiego z Warszawy, Wandy Gołębiewskiej z Płocka oraz Adolfa Krzemińskiego z Radomia. Czytelnicy znajdą też utwory z Pomorza: Elżbiety Juszczak i Jerzego Fryckowskiego oraz z Rzeszowa: Wiesława Zielińskiego i Lesława Jana Urbanka. Po raz pierwszy są strofy poetów z Niemiec: Małgorzaty Płoszewskiej rodem z Płocka, a przede wszystkim Józefa Plessa, uznanego literata z Lubeki, laureata licznych konkursów literackich w Europie, urodzonego w polskim Grudziądzu.

Również w następnych zeszytach literackich, o ile nowe władze samorządowe będą nadal wspierać ich wydawanie - chcielibyśmy prezentować twórczość różnych autorów. Po to, aby poznawać twórczość z innych regionów i państw, a za pośrednictwem własnych piór przekazywać w Ciechanowskich Zeszytach Literackich rodzimą twórczość i wiedzę o naszej ziemi.

Portret Zygmunta Krasińskiego wykonany przez Franciszka Tepę w Paryżu (1856)

Franciszek Tepa pochodził ze Lwowa. Malarstwa uczył się w Wiedniu i Monachium, a doskonalił swój kunszt w Paryżu. Tam też poznał wielu poetów i malarzy z grona polskiej emigracji. Portret Zygmunta Krasińskiego wykonał z pamięci, po wizycie, jaką złożył poecie w jego paryskim mieszkaniu

ZBIGNIEW LISOWSKI

„Zbrodnie nowe przyjdą stare karać" czyli Krasiński i Reymont o rewolucji

Tekst swój rozpocznę sformułowaniem tezy, że opowiadanie W.S. Reymonta *Cmentarzysko* (1906) stanowi epicką, ukształtowaną już w kapitalistycznych okolicznościach i warunkach początków XX wieku, wersję *Nie-Boskiej komedii* Z. Krasińskiego. Wymienione utwory paralelizuje mocno i wyraziście problem rewolucji społecznej, będącej wszak jednym z największych wyzwań rzuconych ludzkości – zwłaszcza w sekwencji ostatnich dwóch wieków – na które romantyczny dramaturg i młodopolski epik odpowiedzieli analogicznie.

W liście do Konstantego Gaszyńskiego we Francji, datowanym w Rzymie 17.01.1834 r., Zygmunt Krasiński pisał, ujawniając *expressis verbis* swój pogląd na rewolucję społeczną, który – jako główny problem – tak jeszcze niedawno zasugerował w *Nie-Boskiej*...:

„Przeczytaj historię rewolucji francuskiej, a zobaczysz, że żaden z aktorów tego strasznego dramatu nie odegrał zamierzonej roli, a usłyszysz burzę słów i wrzasków, nie ujrzysz żadnej ostatecznej budowy.

Ja wiem, że cywilizacja nasza ma się ku śmierci, wiem, że bliskie czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą stare karać i same się potępić w obliczu Boga – ale wiem, że one nic nie utworzą, nie zbudują: przyjdą jak koń Atylli i głucho po nich! Dopiero to, czego ani Ty, ani nikt inny nie zna, nie pojmuje, nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje, ale wtedy i Twoje, i moje kości próchnem gdzieś będę!"

Jeszcze nadejdzie taki czas – przewidywał proroczo – gdy poglądy tych „restauratorów" i „wskrzesicieli" „sam ród ludzki" kiedyś odrzuci, a nawet „nimi wzgardzi, jak my dzisiaj gardzimy kratami i łańcuchami gotyckich więzień". Autor tego listu ostrzega

też adresata przed ludźmi, którzy kłamią w formie „udanego szału", jedynie grając rolę entuzjastów wielkich idei społecznych.

„Historiozofia Krasińskiego – stwierdza Maria Janion – czerpała stale swą dynamikę intelektualną ze zjawiska, które do dziś pozostało najważniejszym problemem życia społecznego – z rewolucji".
A jest ona – dowodzi wybitna badaczka także w imieniu autora – „zjawiskiem nieuniknionym", bo w tym świecie „nieboskim" taki się ustalił „mechanizm działania sił społecznych – od łańcucha starych zbrodni do nowych".

Epokę chaosu, poprzedzającą zwykle wydarzenia rewolucyjne, obrazuje scena umiejscowiona w „domu wariatów", mająca z tego właśnie względu bardzo ostrą wymowę ironiczną, bowiem to poszczególni obłąkańcy „reprezentują" różne ówczesne kierunki i koncepcje ideowo – polityczne. Jeden z nich, potępiając „jakóbinów" za prześladowania religijne, przedstawia się jako... „drugi Bóg", następca zmarłego na krzyżu Chrystusa. Inny pacjent, nawołujący do gilotynowania „królów i panów", uważa siebie za człowieka, od którego „poczyna się wolność ludu", wyznaje też chełpliwie, że „własną ręką" zabił już trzech monarchów i stu księży, i to w trakcie odprawiania mszy, sugeruje ponadto zamiar uśmiercenia jeszcze dziesięciu władców. Jest również w tym gronie samozwańczy „król", który wymaga od swoich „poddanych" hołdów na klęczkach, i „prorok" zwiastujący apokaliptyczne zbliżanie się dnia Sądu Ostatecznego, o czym mają świadczyć takie symptomy, jak zanikanie blasku słońca i poważne komplikacje w mechanizmie krążenia gwiazd po ustalonych trajektoriach.

Ze względu na przyjęty w tym tekście punkt widzenia, należy wziąć pod uwagę dialog Męża (czyli hr. Henryka) z Filozofem, który – inspirował głównie ideologię saint – simonistów – sugeruje potrzebę emancypacji kobiet i Murzynów, lecz głosi też konieczność rewolucji, przewidując „odrodzenie się rodu ludzkiego przez krew i zniszczenie form starych", co zresztą byłoby zgodne – jak sądzi – z geologicznym mechanizmem świata, którego położenie w kosmosie, a także – należałoby tu dodać – strukturę determinują głównie „nagłe rewolucje", czyli różnego typu kataklizmy, nie zaś procesy o

charakterze ewolucyjnym. Wskazując na rosnące w pobliżu – wręcz symboliczne – „drzewo spróchniałe", Mąż stwierdza: „Jednak to obraz twój i wszystkich twoich, i wieku twego, i teorii twojej".

W introdukcyjnej i apostroficznej sekwencji „Części trzeciej" poeta przedstawia głównie wizję pogrążonego w chaosie świata, który jest już czerwony i śliski od krwi, choć znajduje się dopiero w przededniu rewolucji społecznej. Łącząc niemal reportażowo struktury opisu i narracji, często dynamizowane użyciem czasu *praesens historicum* i zdań eliptycznych, Krasiński skupia swoją uwagę głównie na obozie rewolucjonistów. Początkowo ukazuje masy ludzkie, które – w atmosferze nienawiści, ujawniającej się w groźbach, przysięgach zemsty i przekleństwach zaczynają brać odwet za swoją nędzę, za mękę egzystencji w znoju i głodzie, złowieszczo potrząsając narzędziami swej pracy - a teraz już walki – takimi jak młoty, kosy, heble, topory, stemple żelazne...

Na ponurym tle tych tłumów wielotysięcznych pojawia się Pankracy, bardziej groźny niż groteskowy ich wódz, którego pierwszą, wstępną prezentację zdeterminowała intencja autora, żeby ideologa i organizatora rewolucji wykreować na uosobienie „rozumu – nie serca". Narrator immanentnie, jakby w imieniu Pankracego, woła więc z ironicznym, bo udanym patosem: „precz z sercem, z przesądami, a niech żyje słowo pociechy i mordu!" W tym kontekście motyw serca oznacza – zgodnie z tradycją – symboliczny organ czy rezerwuar uczuć, natomiast pojęcie „przesądy" stanowi niejako synonim zasad moralnych, powstałych na kanwie zdeterminowanego tymi uczuciami sumienia jako podstawy systemu praw naturalnych. Bo wypreparować z człowieka uczucia i zasady to uczynić go zdolnym do zbrodni.

W rezultacie wykreowany został dość odrażający, cieniowany naturalistycznie portret przywódcy, który jeszcze nie wyzwolił uciśnionych z więzów niedoli, a już zapanował nad nimi, stając się absolutnym władcą ich dusz, umysłów i sumień:

„Głos jego przeciągły ostry, wyraźny (...) – ruchy jego powolne, łatwe, wtórują słowom jak muzyka pieśni – czoło wysokie, przestronne, włosa jednego na czaszce (!) nie masz, wszystkie

wypadły, strącone myślami – skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy koście i muszkuły – a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje – nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy na licach – oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy – chwili jednej zwątpienia, pomieszania nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wytęży ponad nimi, schylają głowy, zda się, że wnet uklękną (...)".

Tak właśnie się rodzą następni – i coraz okrutniejsi – władcy, a sytuacja niewolników, jeśli w ogóle się zmienia, to tylko na gorsze.

Narrator – i deskryptor zarazem – zwraca następnie uwagę na postać Przechrzty, przyczajoną pokornie, wręcz niewolniczo, „u stóp mówcy", określając ją potrójną alternatywą: „przyjaciel czy towarzysz, czy sługa", co brzmi ironicznie, bo wiadomo, że na pozór przyjaciel i towarzysz, lecz realnie – sługa. Oczywiście sformułowanie „potrójna alternatywa" uzasadnione jest etymologicznie (jeśli termin 'alternatywa' wyprowadzimy od łac. *alterno* – wymieniam coś kolejno, zmieniam, na przemian coś czynię, kolejno postępuję, nie zaś od *alter* – drugi, jeden z dwóch).

Dokonując wstępnie bezpośredniej prezentacji Przechrzty, deskryptor podkreśla jego cechy negatywne i kojarzące się negatywnie: miał „na ustach coś lubieżnego, coś złośliwego, na palcach złote pierścienie - i on także głosem chrapliwym woła – < Niech żyje Pankracy >". Reagując na to kultowy wódz rewolucji każe mu podać... chustkę – do nosa zapewne – by przez poniżenie spotęgować w nim wiernopoddańczą postawę sługi.

W kolejnej scenie i występujący już w roli koryfeusza Przechrzta, i jego rodacy jako członkowie chóru ujawniają swoje prawdziwe – w ujęciu Krasińskiego – intencje i zamierzenia . Przechrzta, zwracając się do nich w apostroficzno – imperatywnej formie, mówi: „Bracia moi podli, bracia moi mściwi, bracia kochani, ssajmy karty *Talmudu* jako pierś mleczną, pierś żywotną, z której siła i miód płynie dla nas, dla nich gorycz i trucizna". Sekwencja apostroficzna stanowi zatem swoiste równanie ewaluacyjne: „podli" + „mściwi" = „kochani", co brzmi tyleż paradoksalnie, co groźnie, sugeruje bowiem, że nienawiść do narodów rasowo obcych powinna być katalizatorem, a

zarazem kryterium miłości do narodu własnego. Problem ten można też ująć w kategorii relacji wprost proporcjonalnych. Natomiast w sekwencji apelatywno – imperatywnej Przechrzta retorycznie nawołuje swoich rodaków do czerpania z *Talmudu* mądrości niezbędnej w przyszłej walce z przeciwnikami, mądrości – zdaniem koryfeusza chóru – tak uniwersalnej, że napawającej jego wyznawców słodyczą i siłą, a wrogów – goryczą i śmiercią.

Chór przechrztów swoiście wyjaśnia w swym pierwszym wystąpieniu genezę – dokonanej rzekomo przez Jehowę – diaspory Żydów jako metody opanowania i zniszczenia świata chrześcijańskiego:

„Jehowa pan nasz, a nikt inny – On nas porozrzucał wszędzie, On nami, niby splotami niezmiernej gadziny, oplótł świat czcicielów Krzyża, panów naszych, dumnych, głupich, niepiśmiennych. – Po trzykroć pluńmy na zgubę im – po trzykroć przekleństwo im".

Pragnąc dodać „chórzystom" otuchy, Przechrzta dowodzi, że chrześcijaństwo broczy krwią i ku niechybnemu chyli się już upadkowi, tym bardziej, że tylko „pany go bronią": „Cieszmy się, bracia moi. – Krzyż, wróg nasz, podcięty, zbutwiały, stoi dziś nad kałużą krwi, a jak raz się powali, nie powstanie więcej".

Chór, kontynuując wątek poprzedniej swej „pieśni", stwierdza: „Dopełnia się praca wieków, praca nasza markotna, boleśna, zawzięta". I – niczym refren – przytacza kolejną formułę przekleństwa rzuconego na „panów", lecz tylko jako jedynych rzekomych obrońców krzyża.

Z kolei koryfeusz Chóru przedstawia uniwersalną metodę budowy potęgi Izraela, polegającą na rozdawaniu wrogim społecznościom nieograniczonej, a więc anarchicznej, powodującej chaos, wolności, na budzeniu w nich różnego typu antagonizmów jako przyczyny konfliktów i kłótni wewnętrznych, a następnie rozłamów – zgodnie zresztą z antyczną zasadą *Divide et impera* – wreszcie na ustawicznie prowadzonej eksterminacji:

„Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie osadzim potęgę Izraela – tylko

tych panów kilku – tych kilku jeszcze zepchnąć w dół – trupy ich przysypać rozwalinami Krzyża".

I tak oto Krasiński zmusił czytelnika NieBoskiej... do zastanowienia się, dlaczego to właśnie „przechrztów" – prowadzących ten dialog pozorny, złożony jedynie z komplementarnych replik – uczynił on wrogami chrześcijaństwa. Wyraziście, niemal bezpośrednio wyjaśnia tę kwestię Chór konwertytów:

„Krzyż znamię święte nasze – woda chrztu połączyła nas z ludźmi – uwierzyli pogardzający miłości pogardzonych.

Wolność ludzi prawo nasze – dobro ludu cel nasz – uwierzyli synowie chrześcijan w synów Kajfasza.

Przed wiekami wroga umęczyli ojcowie nasi – my go na nowo dziś umęczym i nie zmartwychwstanie więcej".

Chórzyści, wyrażając poniekąd stan świadomości zbiorowej, jakby potwierdzają, że ich akces do chrześcijaństwa był jedynie pozorny, został bowiem wybrany jako szczególnie skuteczna, bo immanentna forma podstępu mającego umożliwić zniszczenie Kościoła od wewnątrz. Konwertyci uważają chrześcijan za ludzi niezwykle, wręcz głupawo naiwnych, którzy tak łatwo uwierzyli w szczerość ich wyznawczych decyzji oraz troski o wolność i dobro ludu. Z przytoczonego tekstu wynika sugestia , że ta naiwna łatwowierność chrześcijan ma stać się przyczyną ich ostatecznej już klęski. Sformułowanie finalne świadczy jednoznacznie, że męczeństwo chrześcijan traktują „chórzyści" jako repetycję cierpień swego wroga – Chrystusa. Warto jeszcze zwrócić uwagę na lekko sugerowaną przez Krasińskiego antynomiczność struktury każdej z dwóch pierwszych części cytowanej „pieśni" Chóru (bo trzecia ukształtowana została na zasadzie analogii), wyrażającą istotę przewrotnej taktyki „przechrztów" wobec świata chrześcijańskiego.

Nim Leonard zapuka do drzwi, Przechrzta zdoła jeszcze wypowiedzieć „jadu żmii kropel kilka" i z brutalną już otwartością ujawnić rzeczywisty cel zamierzonej rewolucji, tj. podbój świata, a Chór – trzykrotnie rzucić przekleństwo na „ludy" i plunąć na ich zgubę trzykrotnie. Koryfeusz i Chór dokonali więc ostatecznie

amplifikacji strategicznych celów rewolucji, zakładając teraz już nie podbój jednego kraju, lecz wszystkich państw świata, nie eksterminację „panów", lecz całych, plemiennie obcych – jak można wnioskować – narodów. Przypuszczenie to okaże się trafne na tle rasistowskiej i dyskryminacyjnej wypowiedzi Przechrzty, który, słysząc pukanie do drzwi, chowa *Talmud*, „by wzrok przeklętego nie zbrudził" świętej księgi, a następnie zapędza swych „braci" do przerwanych zajęć. Ponieważ spisek przeciwko światu ma być zrealizowany za pomocą machiny przygotowywanej przez Pankracego rewolucji, stanowi konspiracyjnie skrywaną tajemnicę rzekomych „przechrztów", których przybyły właśnie Leonard zastaje przy gorliwej i jakby nieprzerwanej pracy nad ostrzeniem puginałów i kręceniem powrozów na stryczki.

Po wyjściu Przechrzty i Leonarda Chór śpiewa pieśń zemsty, rozpoczętą apostrofą do narzędzi bardziej zbrodni niż walki, a zakończoną refrenem w formie trzykrotnego przekleństwa:

„Powrozy i sztylety, kije i pałasze, rąk naszych dzieło, wyjdziecie na zatratę im – oni panów zabiją po błoniach – rozwieszą po ogrodach i borach – a my ich potem zabijem, powiesim. – Pogardzeni wstaną w gniewie swoim, w chwałę Jehowy się ustroją (...)".

Zaprezentowany tu plan działania – aż do bólu okrutny w swej prostocie i lapidarności, potwierdzający zresztą kierunek dotychczasowej interpretacji problemu – w ujęciu „immanentnym" przedstawia się więc następująco: rewolucjoniści zabiją panów, a my – rewolucjonistów. Każda z komplementarnych replik pozornego dialogu między Przechrztą i Chórem to – w ujęciu Krasińskiego – jakby miarka przysłowiowej oliwy stopniowo dolewanej do ognia tyleż narodowej, co rasowej nienawiści. Nie o rewolucję społeczną tu chodzi. Nie o dobro ludu. Antagonizmy klasowe stanowić będą jedynie elektryzujący masy ludowe pretekst.

Po prezentacji programu knowań tajnej frakcji obozu rewolucjonistów Krasiński – również pośrednio – ujawnia też kolejno inne cechy ich przywódcy, Pankracego, który, negując w krótkim monologu wewnętrznym inteligencję swych bojowników,

określa ich jako *servile imitatorum pecus* („niewolnicze bydło naśladowców"). Czyżby ten wytrawny znawca nawet listów Horacego, pełen pogardy dla ludu, w imię interesów owego bydła organizował rewolucję ?

Natomiast Leonard, stanowczo sprzeciwiający się wszelkim próbom rokowań Pankracego z hr. Henrykiem jako przywódcą obozu arystokratycznego, reprezentuje radykalnie bezkompromisowy – by nie powiedzieć: krwawy, rzeźnicki (czy rzeźniczy) rewolucjonizm, spotęgowany uzurpatorskim przekonaniem o konieczności spełnienia wielkiej misji dziejowej. W imieniu swoim i Pankracego stwierdza więc chełpliwie: „Kto nam zdoła się oprzeć – przecie w nas wcieliła się Idea wieku naszego". I właśnie tak rodzą się najczęściej „jedynie słuszne" idee i jedynie właściwi realizatorzy zdeterminowanych nimi koncepcji.

Jeszcze bardziej megalomański jest Pankracy, który, prowadząc po wyjściu Leonarda wewnętrzny dialog ze swoją myślą, wysuwa wniosek, iż to właśnie w niej „zeszła się wola i potęga wszystkich", tak że „co zbrodnią dla innych", to dla jego myśli – „chwałą". Taka bywa najczęściej geneza totalitaryzmu, zwłaszcza jego najokrutniejszej formy, którą jest przecie tak dobrze nam znany – terroryzm państwowy, usankcjonowany odpowiednio ustanowionym prawem.

Warto też odnotować chóralny „występ" przedstawicieli najemnych sił rewolucji, rzeźników, przeznaczonych do wykonywania nowych zadań, lecz zgodnych technicznie z ich prastarą specjalizacją:

„Obuch i nóż to broń nasza – szlachtuz to życie nasze. – Nam jedno: czy bydło, czy panów rżnąć. Dzieci siły i krwi, obojętnie patrzym na drugich, słabszych i bielszych – kto nas powoła, ten nas ma – dla panów woły, dla ludu panów bić będziem".

Reżimy światowe – zwłaszcza XX wieku – formułowały często piękne zasady, wielkie idee, szlachetne cele i wzniosłe hasła – chociaż najczęściej jako preteksty – to jednak ukazany w *Nie Boskiej...* terroryzm rzeźnicki jest rozbrajająco (mimo owych obuchów i noży) szczery, zyskując nawet uznanie hr. Henryka.

Dla procesu analizy przyjętego w tym referacie aspektu bogatej problematyki dramatu istotny gest semantyczny stanowi dialog między Mężem, czyli zamaskowanym hr. Henrykiem, Przechrztą i Bianchettim, który – podobnie jak Pankracy i Leonard – zdążył już stać się członkiem uprzywilejowanej grupy nowych arystokratów, właśnie na rewolucji – choć brzmi to paradoksalnie – robiących swoją klasową karierę. Zobaczmyż, jak się przejawia arystokratyzm kondotiera Bianchettiego, który uważa siebie za geniusza: „ Chociażeście moi bracia w wolności, nie jesteście moimi braćmi w geniuszu – po zwycięstwie dowie się każdy o moich planach". Trafność interpretacji postawy generała w pełni potwierdza skierowana do Przechrzty, nieco ironiczna, ostrzegająca wypowiedź hr. Henryka: „Radzę wam, go zabijcie, bo tak się poczyna każda arystokracja!" Komentując ten fragment, J. Kleiner pisał: „Krasiński podkreśla jak najsilniej, że z przewrotu rewolucyjnego wyłonić się musi nowa arystokracja, że więc wyodrębnienie kasty wyższej nie jest wadą tylko samego ustroju dawnego (...). Oczywiście - trzeba tu dodać – nie tylko „dawnego".

Na zasadzie kontrastu przedstawia Krasiński wynędzniałą postać Rzemieślnika, który w ciągu zaledwie kilku ostatnich już chwil swego życia osiąga wymiar symbolicznej reprezentacji wszystkich robotników, fizycznie i duchowo zniszczonych przez poczynający się właśnie, a więc najbardziej żarłoczny i bezlitosny, kapitalizm. Lecz taki też będzie socjalizm, skoro nikogo z egoistycznych przywódców rewolucji los tego nieszczęśnika nie obchodzi. Przechrzta, pozbawiony empatycznej wrażliwości, zdobędzie się tylko na wykrzyknik odrazy: „Jaki brzydki trup". A mając własne cele na względzie , przysysa się do tych, którzy, osiągnąwszy już szansę na zwycięstwo, będą mogli w przyszłości podzielić się z nim zdobytą władzą, niezbędną do realizacji dalszych tajnych zamierzeń. Całkowicie uzasadnione są zatem – wbrew opinii J. Kleinera – skierowane do Przechrzty, lecz dotyczące wszystkich przywódców rewolucji, pełne oburzenia słowa hr. Henryka: „Gdzie się podzieją teraz wasze wyrazy, wasze obietnice – równość – doskonałość i szczęście rodu ludzkiego?". Widocznie trafił nimi koryfeusza Chóru

w czułe miejsce, skoro ten wyraził „na stronie" następujące życzenie: „Bodajbyś także za wcześnie zdechł i ciało twoje psy rozerwały na sztuki!".

Hr. Henryk, niczym Dante, wędrując po kręgach piekielnych tej ziemi, spotyka Chór chłopów śpiewających pieśń zemsty na tyrańskich panach, ukształtowaną słownie pod wyraźnym wpływem społeczno – moralnego wątku II części *Dziadów* Mickiewicza:

„Upiór ssał krew i poty nasze (...) – nie puścim upiora (...). – Panom tyranom śmierć (...). – Jako snopy na polu, tak ich trupy będą – jako plewy w młockarniach, tak perzyny ich zamków (...)". Obserwuje też scenę odprawiania obrzędów „nowej wiary", poprzedzonych zburzeniem wszystkich – w całym regionie – kościołów. Z wypowiedzi Przechrzty na ten temat („Nasi ludzie krwawo pracowali przez czterdzieści dni i nocy, aż wreszcie zburzyli ostatni kościół na tych równinach") można wnioskować, że była to akcja podwójnie zbrodnicza, polegająca na zniszczeniu zarówno dzieł architektury sakralnej, jak i ludzi, gdyż określenie „krwawo" nie jest tu przecie metaforycznym synonimem przysłówka „ciężko". I jeszcze te czterdzieści dni i nocy... Jaki sens i cel owej aluzji do *Ewangelii*? Czy to tylko symptom złośliwej przekory lub kpiny ateistycznych barbarzyńców? Przechrzta chce może zasugerować, że wprawdzie Chrystus, odrzucając kategorycznie kuszące oferty szatana, odniósł na pustyni zwycięstwo, lecz teraz doznał klęski, gdyż nie zdołał ocalić ani swych świątyń, ani wyznawców. Bogiem „nowej wiary" stała się rzekomo Wolność – choć nie dla wszystkich przeznaczona. Jej „prorok natchnięty", Leonard, mistrz nie tyle rewolucyjnych, co orgiastycznych sabatów, w otoczeniu wiernej swej świty, nowej arystokracji, odprawia co noc „czarną mszę" na gruzach kościoła, a „Trzy ogniska palą się pod nimi" jako symbole nowej trójcy, którą stanowią Pankracy i „para kapłańska", czyli Leonard i jego kochanka, wybrana starannie „spośród córek Wolności", co można traktować jako reminiscencję ideologii Enfantina, przywódcy saint – simonistów, autora pomysłu wykreowania właśnie owej „pary

kapłańskiej", mającej pełnić w hierarchii antykościoła funkcję zwierzchnią. „Oblubienic" Leonarda jest zresztą znacznie więcej, a wszystkie się rwą ekstatycznie ku swemu „prorokowi" – „przez popiół i żar, ogień i dym (...)". Siebie i swoją główną wybrankę nazywa Leonard „obrazem rodu ludzkiego" – ale już wyzwolonej, zmartwychwstającej generacji – a zatem swoistą antyrepliką rajskiej pary: Adama i Ewy. Pierwsze i podstawowe znaczenie słowa *religio (-onis)* to bojaźń i cześć wobec Boga. Tak pojmowaną religię Pierwsi Rodzice przekazali ludzkości. Natomiast Leonard, pełen zuchwałej pychy, tworzy nową religię, a raczej antyreligię, budząc uczucie bojaźni i czci wobec siebie. Rajska para żałowała za swój grzech, Leonard – również w imieniu oblubienicy – popełnionymi grzechami się chwali i szczyci:

„(...) stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga. – Chwała nam, bośmy członki Jego rozerwali, teraz proch i pył z nich – a duch (!) Jego zwyciężyli naszymi duchami – duch Jego zstąpił do nicości".

Leonard, uważając się nie tylko za proroka, lecz także za istotę wyższą nawet od „Boga nowego" – Boga „swobody i rozkoszy", i „ludu", i „Wolności" – wspaniałomyślnie oddaje mu we władanie niebiosa, a na ziemi „świat nowy" proklamuje, a raczej – jak demirug – właśnie go stwarza. Nawet Przechrzta, oburzony bluźnierczymi wobec Jehowy ekscesami Leonarda, trzykrotnie pluje „na zgubę" jego i przywództwa całej armii rewolucyjnej.

Chór kapłanów „nowej wiary", zadając retoryczne pytania o losy panów i królów, którzy tak jeszcze „niedawno przechadzali się po ziemi w berłach i koronach, w dumie i gniewie", prowokuje zabójców do podania – zapewne chełpliwie potem wymawianych – imion swych ofiar. Leonard, apoteozując zbrodnię, skutecznie inspiruje ich jeszcze do dalszych „bohaterskich" czynów:

„Idźcie bez trwogi i mordujcie bez wyrzutów – boście wybrani z wybranych, święci wśród najświętszych – boście męczennikami – bohaterami Wolności".

To także przyczynek do genezy terroryzmu. Zwracając się do Chóru zabójców, Leonard nawołuje wszystkich do ponownego

zdeptania świątyni „umarłego Boga", co można potraktować jako pierwszą w literaturze polskiej informację na temat tzw. Śmierci Boga, koncepcji dopiero po kilkudziesięciu latach wyraziście sformułowanej przez F. Nietzschego, a skwapliwie podchwyconej przez modernistów. Miejsce po rzekomo „umarłym" – również w świadomości człowieka – Bogu, miały zająć nowe bogi: ludzkość, wolność, użycie, raj na ziemi – lecz w rzeczywistości tylko dla panujących, rządzących, zwycięskich, bogatych, silnych, brutalnych, przebiegłych, uprzywilejowanych... Takich właśnie jak Pankracy, Leonard, Bianchetti. Ten antropologiczny panteizm i do naszych czasów zdołał już dotrzeć, zyskując wielu zwolenników, a nawet entuzjastów, którzy go wykorzystują skwapliwie do własnych – indywidualnych albo grupowych – celów. Łatwo można więc przewidzieć – zgodnie zresztą z sugestią Krasińskiego – że po rewolucji zorganizowanej przez tę iście szatańską trójcę, sytuacja społeczeństw zmieni się o... 360°, tzn. pozostanie taka sama, pojawią się tylko inni ciemiężyciele, może nawet jeszcze bardziej okrutni niż ich poprzednicy, jak się to stało w XX już wieku. Pankracy i Leonard wydali walkę religii, tworząc jednocześnie nową, perwersyjną i orgiastyczną, słowem – szatańską „religię". Oto „arcykapłan" Leonard udziela Hermanowi – iście oksymoronicznych – „święceń" zbójeckich, trzymając w rękach olej, sztylet i truciznę:

„Olejem, którym dawniej namaszczano królów, na zgubę królom namaszczam cię dzisiaj – broń dawnych rycerzy i panów na zatratę panów kładę w ręce twoje – na twoich piersiach zawieszam medalion, pełny trucizny – tam, gdzie twoje żelazo nie dojdzie, niech ona żre i pali wnętrzności tyranów. – Idź i niszcz stare pokolenia po wszech stronach świata".

Chór "nowych" kapłanów zachęca, wręcz nawołuje do mordowania przeciwników „bez słabości", jaką jest litość i miłosierdzie, Herman, „syn sławnego filozofa", „czaszką starego świętego" wznosi toast za zdrowie mordercy (którym jest w istocie zamaskowany hr. Henryk), przy okazji dwie dziewczyny – jak ongiś ewangeliczna Salome – żądają od niego zabicia, i to specjalnie dla nich, księcia Jana i hr. Henryka, dzieci proszą go „ślicznie o głowę

arystokraty", a wszyscy życzą szczęścia jego sztyletowi. Scenę manifestacji okrucieństwa i sadyzmu finalizuje chór artystów, „nowych" architektów zamierzających wznieść „świątynię (...) nową", odpowiadającą porewolucyjnym czasom „Wolności":

„Na ruinach gotyckich świątynię zbudujem tu nową – obrazów w niej ni posągów nie ma – sklepienia w długie puginały, filary w osiem głów ludzkich, a szczyt każdego filara jako włosy, z których się krew sączy – ołtarz jeden biały – znak jeden na nim – czapka Wolności – Hurracha!"

Większość wątków i motywów demonologicznych *Nie – Boskiej...* pochodzi – zdaniem W. Kubackiego – z *Dictionnaire infernal* (1818) Collina de Plancy, gdzie w roli wielkiego mistrza sabatów pojawia się właśnie postać szatana Leonarda. „Analiza pokazuje – stwierdza badacz – że w scenie z Leonardem mamy ukrytą paralelę: rewolucja – sabat, ruch społeczny – natchnienie piekieł, trybun ludu, Leonard – szatan ze średniowiecznej legendy, wielki mistrz wszelkiego rozpasania i wyuzdania". W tamtej epoce – podkreśla Kubacki – „*Nie - Boska komedia* stawała się nowoczesną, polityczną *Apokalipsą*, sybil(l)ińską księgą" czasów kapitalizmu.

Istotnym determinantem rozważań na temat problematyki rewolucji w Nie – Boskiej... jest również dynamiczny dyskurs między Pankracym i hr. Henrykiem, ujawniający owe „stare zbrodnie", ale też egoistyczną, nade wszystko zaś zbrodniczą taktykę i strategię działań Pankracego, lapidarnie, lecz ostro ocenianą przez gospodarza zamku:

„ (...) patrzałem wśród cieniów nocy na pląsy motłochu, po karkach którego wspinasz się do góry – widziałem wszystkie stare zbrodnie świata, ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem – ale ich koniec ten sam, co przed tysiącami lat – rozpusta, złoto i krew".

Pankaracy wyolbrzymia więc teraz, wręcz mitologizuje swą rolę przywódczą, traktując ją jako posłannictwo dziejowe o zasięgu światowym:

„Z pokolenia, które piastuję w sile woli mojej, narodzi się plemię ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze. – Ziemia jeszcze takich nie

widziała mężów. – Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieguna do bieguna. - Ona całym jednym miastem kwitnącym, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu".

Łudzenie, a raczej epatowanie społeczeństw „jasnymi" perspektywami szczęśliwej przyszłości stanowi zatem bardzo już stary chwyt propagandowy, umożliwiający zdobycie władzy. Pod tym względem socjalizm utopijny Saint – Simona nie różnił się od tzw. socjalizmu naukowego.

I właśnie Pankracy – wzorem saint – simonistów – nadal maluje pejzaże tyleż arkadyjsko szczęśliwej, co dalekiej przyszłości świata, której właśnie on, apostoł „nowego Boga", jakim staje się już ludzkość, będzie pośrednim demiurgiem. Zatem dopiero teraz – dowodzi chełpliwie – świat zostanie zbawiony, gdyż męczeńska śmierć Chrystusa na krzyżu okazała się daremna, skoro w ciągu „dwóch tysięcy lat" nie przyczyniła się do eliminacji człowieczej nędzy. Hr. Henryk, oburzony bluźnierczą wypowiedzią Pankracego, zdaje się sugerować, że krzyż, który oglądał kiedyś w rzymskim Koloseum, nie bez powodu stał się znakiem zwycięskiej idei chrześcijaństwa. Pankracy próbuje zastosować w tej dyskusji jakby metodę immanentną, zwracając się do swego rozmówcy w formie podobnej do tej, w jakiej Chrystus zwrócił się niegdyś do bogatego młodzieńca, który Go spytał o warunki zbawienia: „wstań, porzuć dom i chodź za mną", co na tle kontekstu brzmi ironicznie. Monologując półgłosem „na stronie", hr. Henryk przewiduje, że Pankracemu chodzi jedynie „o zmianę plemienia", którą można chyba interpretować – zgodnie zresztą z tezą Krasińskiego – w ten sposób: plemię feudalno – kapitalistycznych władców świata zostanie zastąpione plemieniem zrodzonym z pokoleń zwycięskich, wypiastowanych ideowo przez Pankracego rewolucjonistów, a będzie to „plemię – jak wcześniej w rozmowie tej już on prorokował – ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze", które zapanuje nad ziemią „od bieguna do bieguna". I chyba - można tu dopowiedzieć – nie tylko nad ziemią, lecz również nad nowymi niewolnikami, którzy będą na owych panów ziemi pracować.

Dialog finalizują dwa istotne pod względem problemowym – a dla jego przebiegu kulminacyjne – segmenty: Pankracy, jako nowy Mesjasz i przyszły sędzia, wygłasza stylizowany ewangelicznie rejestr przestępstw i pomniejszych grzechów arystokracji, wzbogacony dowodowo „portretowymi" egzemplifikacjami z dziejów rodu hr. Henryka, który z kolei, replikując na te zarzuty, przytacza rejestr społecznych i kulturowych zasług swej klasy, a jest przy tym niezwykle obiektywny, nie neguje bowiem ani jej win, ani też swemu rozmówcy nie wypomina zbrodni i pychy szatańskiej.

Po zwycięstwie nad obozem arystokratów i wydaniu poleceń zburzenia Okopów Świętej Trójcy oraz wydania wyroków na wyprowadzonych z warowni książąt, hrabiów i baronów (których krew miała popłynąć „dla przykładu świata") Pankracy, zainspirowany koncepcjami saint – simonistów, w trakcie rozmowy z Leonardem zarysowuje tyleż gigantyczne, co bezsensowne plany gospodarcze, dotyczące takich inicjatyw, jak zaludnienie puszcz, przedrążenie skał, połączenie jezior i przyznanie gruntu każdemu obywatelowi. Realizacja tych zamierzeń miałaby odkupić „dzieło zniszczenia", a bogactwo nowego życia zrównoważyłoby tragizm śmierci. Pankracy przeżywa więc ambiwalentne emocje: odczuwa potrzebę odkupienia swych win, uważając zarazem, że „ostatnim westchnieniem" skazańców zakończy się „dopiero połowa pracy" zamierzonej. Optymistyczne przewidywania Leonarda („Bóg Wolności sił nam podda") komentuje następująco: „Co mówisz o Bogu - ślisko tu od krwi ludzkiej. – Czyjaż to krew ?" Ten psycho – moralny stan budzi w nim wrażliwość na wpływ transcendencji: „sami jesteśmy, a zda mi się, jakoby tu był ktoś trzeci". Na chmurze opromienionej blaskiem zachodzącego słońca dostrzega nawet jakiś płonący „Znak straszny", zapewne krzyż, może podobny do tego, który sam autor z uwielbieniem kontemplował w rzymskim Koloseum. Po chwili Pankracy postrzega postać Chrystusa, który, „Jak słup śnieżnej jasności, stoi ponad przepaściami – oburącz wspart na krzyżu jak na szabli mściciel. – Ze splecionych piorunów korona cierniowa". I wzrok Chrystusa karzącego jest błyskawicowy – zabija winnych jak piorun. Pankracy błaga Leonarda, by nie dłońmi,

ale pięściami zakrył mu oczy, gdyż blask tego spojrzenia począł rozkładać go „w proch". Jednak spojrzenie Chrystusa całkowicie przenika pięści Leonarda, jakby stały się one tak „przejrzyste" jak woda, szkło albo powietrze. Pankracy błaga więc go rozpaczliwie o ciemność, którą mógłby się osłonić przed karzącym blaskiem Sędziego, a następnie - z okrzykiem *Galilaee vicisti!* – umiera. „Słowa te – informuje J. Kleiner – wyrzec miął konający cesarz Julian Apostata (361 – 363), który starał się stłumić chrześcijaństwo i przywrócić pojęte w duchu neoplatońskim pogaństwo; nowy wróg i niszczyciel chrystianizmu, Pankracy, ginie z tym samym okrzykiem klęski na ustach".

Trafną motywację eschatologicznego rozwiązania głównych problemów dramatu przez autora interesująco przedstawił W. Kubacki:

„*Nie – Boska komedia* (...) to dramat adwentystyczny (...). Bezbożna rewolucja przybrała w scenie sabatu postać antyreligii. (...) Pankracy, wbrew planom Opatrzności, zapowiada wygnanym synom Adama powrót do raju. W ten sposób z wodza głodnych i wydziedziczonych staje się Antychrystem. Były to znaki zapowiadające przybliżenie się Królestwa Bożego. Dopiero w tym ideologicznym kontekście nabiera właściwego sensu artystycznego wystylizowanie wielu szczegółów *Nie – Boskiej k omedii* na podobieństwo ewangelicznej i apokaliptycznej opowieści o końcu świata. Np. nawrócenie Żydów (trafnie interpretował w ten sposób J. Kleiner występowanie Przechrztów w dramacie) lub sławny obraz miejsca ostatecznej rozprawy ludu z arystokracją (...). Zło dojrzało do mistycznego przesilenia. Nadszedł dzień gniewu Pańskiego. Wybiła godzina sądu i odpłaty. Znieważone niebiosa odpowiedziały eschatologicznym symbolem.

Koniecznie przypomnieć tu trzeba, że nawrócenie Żydów – co zresztą tekst dramatu nie tylko sugeruje – było pozorne, umożliwiało im bowiem ukrycie ich rzeczywistych intencji i zamierzeń.

Eschatologiczny finał Nie – Boskiej... możemy też rozpatrywać na tle historiozoficznej – sformułowanej pod wyraźnym wpływem koncepcji Hegla – triady Augusta Cieszkowskiego, bardzo

Krasińskiemu bliskiej (teza – antyteza – synteza), wizję Chrystusa traktując jako zapowiedź lub nawet początek epoki syntezy, która, uświęcona przez Ducha Świętego, stanie się epoką wszechdobra i wszechmiłości, lecz poprzedzoną sprawiedliwym osądem ludzkości. Interpretacja taka byłaby całkowicie zgodna z intencją i kierunkiem wywodów W. Kubackiego.

Warto dodać, że Pankracy, wypowiadając ostatnie słowa dramatu, modelowany był - przypuszcza Maria Janion – na podobieństwo Leona Łubieńskiego, który, jako największy wszakże antagonista z czasów uniwersyteckich, nadal stanowił dla autora obiekt odrazy i fascynacji zarazem. I takież relacje łączą i dzielą hr. Henryka i wodza rewolucji.

(II część w następnym numerze)

• **Zbigniew Lisowski** – dr hab., prof. Akademii Podlaskiej w Siedlcach, teoretyk i historyk literatury, autor wielu książek, rozpraw, artykułów i recenzji. Jego prace wzbogaciły wiedzę o twórczości autora *Ech Leśnych* w stosunku do wyników badań Stanisława Adamczewskiego, Wacława Borowego i Artura Hutnikiewicza. *Nowelistyka Stefana Żeromskiego* zyskała mu uznanie nie tylko czytelników, ale i córki wielkiego pisarza – Moniki Żeromskiej. W jego dorobku naukowym nie można pominąć niezwykle interesującej rozprawy pt. *Interpretacja utworu literackiego jako główny problem metodyczny.*

***

jesień w Opinogórze
użycza liściom światła
nie zagląda do pokoju
Zygmunta
gdzie cisza i półmrok

w oknie zaledwie cień
zmierzchu
drżenie gałązek
delikatnych jak sen
jak przeczucie
co skrada się
z niepotrzebnymi myślami
co kreśli obrazy
na horyzoncie
za opinogórskim parkiem

• **Wanda Gołębiewska** – poetka z Płocka, kilkakrotna laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich „O Laur Opina

HENRYK KACZOROWSKI

Powrót Zygmunta Krasińskiego

Zygmunt Krasiński nie urodził się w Opinogórze, tylko w Paryżu i tam zmarł, ale w cztery miesiące po śmierci trumna z jego zwłokami została sprowadzona do Ojczyzny i złożona w opinogórskiej świątyni. Tutaj i w Warszawie spędził swoje dziecięce i młodzieńcze lata. Będzie do nich często wracał w swojej obfitej korespondencji, zwłaszcza do przeżyć związanych z polowaniem na kaczki, zające, bażanty i kuropatwy, podczas którego wzdłuż i wszerz zdeptał ciechanowską ziemię. Już jako trzynastoletni chłopiec otrzymał bowiem od ojca w prezencie broń myśliwską, która mu towarzyszyła w tych wędrówkach. To między innymi i te przeżycia podyktowały mu słynną strofę – *Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,*

Co wykuwa żywot cały:
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały[1].

W Ciechanowie, w kościele na historycznej Farskiej Górze, 20 października 1822 roku odbyła się uroczystość bierzmowania jedynego syna hrabiego Wincentego Krasińskiego i opromienionego sławą w armii Napoleona generała, w Opinogórze zaś godna słynnego rodu uczta weselna. Pierwsze z tych wydarzeń Towarzystwo Miłośników Ziemi Ciechanowskiej upamiętniło wmurowaną w tym kościele tablicą[2]. Z tej okazji dyskretnie, jak powiedział Jan Korzybski, jeden z założycieli tej organizacji, jej długoletni sekretarz i historyk, została zorganizowana uroczystość w 150 rocznicę urodzin autora *Irydiona.. Nazwisko rodowe Krasińskich* – informuje swoich czytelników Zbigniew Sudolski - biograf poety– *od kilku wieków znane było w Polsce. Ród ten posiadał liczne*

1. Z. Krasiński – *Do Kajetana Koźmiana.*
2. Reprodukcja tej tablicy została zamieszczona w książce Jana Kazimierza Korzybskiego – *Ciechanowskie pamiątki przeszłości.* Ciechanów 2000.

rozgałęzienia w Galicji, na Białorusi i Mazowszu, a wśród swoich antenatów liczył zarówno żołnierzy, senatorów, biskupów, posłów, wojewodów czy starostów, jak i utracjuszy i hulaków[3]. To prawda, że arystokracja wydała również trwoniących swoje majątki utracjuszy i hulaków, a nawet zdrajców, ale stanowili oni tylko nieznaczny margines tej warstwy społecznej i byli często potępiani przez swoich krewnych i eliminowani z rodu. Większość z jej przedstawicieli odegrała niezwykłą rolę w dziejach Polski. Byli wśród nich mężowie stanu, twórcy kultury narodowej i żołnierze służący Polsce z bronią w ręku, gotowi do poświęcenia jej sprawie nie tylko majątku, ale i życia. Arystokrata nie oznacza reakcjonisty i wstecznika, jak nam próbowano wmawiać przez czterdzieści pięć lat po drugiej wojnie światowej, ale zawsze człowieka światłego, często patriotę, czasem i reformatora, a jeżeli konserwatystę, to rozumnego i w postępowaniu zawsze kierującego się normami chrześcijańskiego kodeksu moralnego.

Nie brakowało tego rodzaju ludzi także wśród Krasińskich. Należał do nich również nasz poeta. Jego pradziadek – Michał Hieronim, który zapoczątkował linię opinogórską, był marszałkiem Konfederacji Barskiej, a jego dziadek - Jan posłem na Sejm Czteroletni. Z. Krasiński jako potomek znanego i pielęgnującego swoje tradycje rodu zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności za przedłużenie i wzbogacenie historii swojej rodziny, co stało się źródłem jego tragicznych przeżyć. I to nie tylko ze względu na konieczność zawarcia małżeństwa nie podyktowanego przez wybór serca, a przez interes rodu, ale przede wszystkim dlatego, że jego antenaci żyli w Ojczyźnie wolnej, a on należał już do pokolenia urodzonego w niewoli i okutego w powiciu. Kajdany, które zaborcy zakładali nie tylko na ręce i nogi Polaków, ale również na ich życie duchowe tak mu ciążyły, że w wieku dojrzałym częściej przebywał za granicą carskiego imperium niż w Opinogórze. Przez całe życie wierzył, że wcześniej czy później Polska odzyska niepodległość,

---

3. Zbigniew Sudolski – *Krasiński. Opowieść biograficzna.* Warszawa 1997, s. 11.Jest to trzecie, zmienione i poszerzone wydanie tej książki.

chociaż bywało, że wątpił, czy jego pokolenie doczeka tej radosnej chwili. Pisał bowiem:

O wiem, że Polska bój: zwycięski toczy
O, nie zginęła i nigdy nie zginie –
Lecz my, czyż ujrzym ją w chwały godzinie? -
- Nim słońce wejdzie rosa wyżre oczy[4].

Wiarę w zmartwychwstanie Polski bezustannie budził i utrwalał wśród rodaków, którzy odwdzięczyli mu się otaczając go jeszcze za życia swego rodzaju kultem. Uznali go za jednego z trzech wieszczów i zaliczyli do Panteonu kultury narodowej. Twórczość Z. Krasińskiego budziła zainteresowanie wszystkich wybitnych krytyków i historyków literatury już w drugiej połowie XIX wieku, a wśród nich Piotra Chmielowskiego, Juliana Klaczki, Józefa Kallenbacha i Stanisława Tarnowskiego. Dwaj ostatni poświęcili uwielbianemu przez nich poecie obszerne, bo dwutomowe prace monograficzne, z tym, że książka Kallenbacha ukazała się już na początku XX wieku (1904 r.). Jej autor był w tym czasie dyrektorem Biblioteki Ordynacji Krasińskich i cieszył się zaufaniem spadkobierców Generała i z tej racji miał dostęp do dokumentów poufnych. Jeżeli zważymy, że wiele z nich pochłonęły pożary podczas drugiej wojny światowej, to docenimy wartość tego dzieła.

W stulecie urodzin poety (1912 r.) jego życie i dzieło doczekały się dziesiątków artykułów, kilku zarysów monograficznych i monografii, w tym pierwszej naukowej i do dzisiaj aktualnej, pióra niezwykle utalentowanego badacza dziejów polskiego romantyzmu - Juliusza Kleinera[5], późniejszego autora wielotomowych dzieł

---

4. Za W. Günther – *Romantyk - pozytywista* w: *Krasiński żywy.* Londyn 1959, s. 84.
5. S. Tarnowski – *Studia do historii literatury polskiej. Wiek XIX. Zygmunt Krasiński.* Kraków 1892, t. 1 – 2, wyd. II 1912. J. Kallenbach – *Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1815 – 1838).* Lwów 1904 t. 1 – 2. J Kleiner – *Zygmunt Krasiński. Dzieje myśli.* Lwów 1912, t. 1 – 2.

naukowych poświęconych Juliuszowi Słowackiemu i Adamowi Mickiewiczowi. Dzięki staraniom znanego i zasłużonego edytora Jana Czubka ukazało się w dziewięciu woluminach ośmiotomowe *Jubileuszowe Wydanie Pism* autora *Nie – Boskiej komedii.* W teatrach zaś grano *Irydiona.*

W okresie drugiej Rzeczypospolitej, *między dwoma Wielkimi Rzeziami*[6], w roku 1928 na łamach czasopism literackich toczyła się ożywiona dyskusja związana z życiem i twórczością Z. Krasińskiego. Wywołało ją ukazanie się dwóch książek. Na książkę Aleksandra Brüknera – *Zygmunt Krasiński. Żywot i dzieła* (1927) zareagowali poloniści wileńscy - Stanisław Cywiński i Manfred Kridl. Recenzja pióra pierwszego z nich pod znamiennym tytułem – *Koniec legendy Krasińskiego* ukazała się w *Dzienniku Wileńskim* (nr 81 – 82), drugiego w *Ruchu Literackim* (nr 4). Przez cały ten okres nad nową monografią życia i twórczości Z. Krasińskiego pracował Ignacy Chrzanowski. Pracy tej, która – jak informuje Mieczysław Łojek - wymagała jedynie retuszu, nie zdążył już przekazać do druku. W roku 1928 opublikował obszerną recenzję książki Tadeusza Piniego – *Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość* (1928). Wiele twierdzeń jej autora uznał I. Chrzanowski za uzasadnione i prawdziwe, zwłaszcza polemicznych w stosunku do twierdzeń S. Tarnowskiego i J. Kallenbacha nadmiernie idealizujących poetę. Zwrócił uwagę na fakt, że już Bronisław Chlebowski nie ukrywał ujemnych cech charakteru Z. Krasińskiego[7]. Dla recenzenta było niejasne i niezrozumiałe, dlaczego analizując *Nie – Boską komedię,* Pini pominął rozmowę przechrztów. Mógł się zdaniem recenzenta nie zgodzić z wyrażoną w niej myślą poety, ale dlaczego ją zataił ? Pytał zatem - *Czyżby na uwydatnienie poglądu Krasińskiego, że Żydzi są głównymi sprawcami przewrotów rewolucyjnych i że ziejq nienawiścią i żądzą zniszczenia kultury chrześcijańskiej, poglądu, którego słuszność*

---

6. T. Różewicz – *Wilga* w: *Szara strefa.* Wrocław 2002.
7. B. Chlebowski - *Krasiński Zygmunt (1812 –1859)* w: *Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej.* Warszawa 1909, t. V, s. 110 - 178.

stwierdziła rewolucja rosyjska - zabrakło Piniemu odwagi cywilnej ? Czy może spowodowało to tak wyraźne w książce postępowe stanowisko jej autora? To ono podyktowało mu pogląd, że poeta z *trybuna ludowego przeistacza się ... najpierw w konserwatystę , a potem we wstecznika.* Odwołując się do opinii M. Kridla, Chrzanowski stwierdza, że *Krasiński był naturą zbyt bujną, bogatą i wszechstronną, , żeby go można zmieścić w jednym kierunku czy obozie.* T. Pini, zdaniem autora recenzji, nie odpowiedział jednak na pytanie, *czy (...) w charakterze i postępowaniu* [bohatera tej książki] *przeważają dobre czy złe pierwiastki ?(...) Teraz - rzecz najważniejsza:* - kontynuował I. Chrzanowski - *czy autor, który tak lubi przeciwstawiać się tradycyjnym sądom , pomniejszył Krasińskiego jako poetę ? Czy to prawda, że, jak pisał pewien krytyk w jednym z dzienników krakowskich, z książki Piniego wypływa ten wniosek , jakoby naród niesłusznie zaliczył Krasińskiego do swoich największych poetów, do <<trzech wieszczów>>? Nie, to nieprawda: z książki napisanej przez krytyka tak zdolnego, jak Pini, taki wniosek wypływać nie może, toteż nie wypływa.* Podkreślił, że nie mają racji i ci czytelnicy książki Piniego, którzy sądzą, że otwiera ona nową erę *w poglądach na poezję Krasińskiego* i stanowi początek obniżenia jej wartości[8]. Godzi się zauważyć, że I. Chrzanowski należał do tego pokolenia, które doczekało wolnej i niepodległej Polski, o którą się modliło i walczyło. Urodził się w roku 1866, a więc 52 lata jego życia upłynęło w niewoli i z poetą łączyła go tożsamość doznań emocjonalnych i oczekiwań. Zapewne myślał również o sobie, gdy pisał, że ci Polacy, którzy urodzili się już po klęsce powstania styczniowego, a przez swoich rodziców zostali wychowani w tradycji epoki przedpowstaniowej *zapamiętali pożółkłe kartki papieru, które chowano pod podłogą z obawy przed rewizją policji moskiewskiej, na których ręką rodziców były przepisane <<Psalmy przyszłości>> i*

---

8. I. Chrzanowski - *Monografia Tadeusza Piniego o Krasińskim* w: *Studia i szkice literackie*. Kraków 1939, t. II, s. 161 – 170.

<<Przedświt>>; a i to jeszcze pamiętają, jak się im kazano uczyć na pamięć całych ustępów z tej Ewangelii narodowej: uczyli się chociaż rozumieli bardzo mało, ale to, że

<<Jak Bóg w niebie – tak koniecznie
Bóg nas wcieli w drugie ciało>>,

rozumieli dobrze - i serce im biło ze szczęścia. To przeżycie nie obce było również I. Chrzanowskiemu, bo i jego serce mocniej biło, gdy

...wszystko wkoło wciąż mówiło – o Niej
O nieśmiertelnej, co w grobowcu czeka
Na odwalenie kamiennego wieka[9]*...*

We wstępie do książki Stanisława Pigonia - *Do podstaw wychowania narodowego* wyraził przekonanie, że tego momentu doczeka, napisał bowiem: *Jakkolwiek się skończy ta burza straszliwa, która już trzeci rok na ziemiach i wodach szaleje, nie ulega żadnej wątpliwości: Polska będzie. W jakich granicach, to na razie nie od nas zależy, ale od nas samych zależy, jaka będzie moralnie i umysłowo.* Autor tych słów wielokrotnie pisał i mówił w czasie wykładów o wartościach estetycznych, intelektualnych, moralnych i narodowych poezji Z. Krasińskiego. Podkreślał, że poeta niejednokrotnie protestował przeciwko polityce pozbawionej wartości chrześcijańskich, co zawsze jest źródłem wszelkich nieprawości, potępiał zbrodnie dokonane na narodzie polskim, bratobójcze walki w łonie jednego narodu, wyzysk robotników, krwawe przewroty społeczne, którymi kierują przywódcy bez serca, stosujący zasadę - cel uświęca środki, a wśród nich - militaryzm, tajną policję, niegodziwą agitację demagogów. Nic dziwnego, że na ten wątek zwraca uwagę w książce Piniego i cytuje z niej twierdzenie dotyczące głoszonego przez autora *Nie – Boskiej komedii* kodeksu etycznego – *Katechizm to twardy, do*

---

9. I. Chrzanowski – *Poezja Krasińskiego (próba syntezy) w: Literatura a naród. Odczyty, przemówienia, szkice literackie.* Lwów 1936, s. 288. Ostatnie trzy wersy pochodzą z zacytowanego przez Chrzanowskiego wiersza Adama Asnyka

wprowadzenia w praktykę życia wprost niemożliwy, bo czerpany z krainy ideału, ale tak wzniosły, że godzien tego, aby przyświecać narodowi i stać się jego drogowskazem. Recenzję kończy słowami poety z artykułu o Słowackim: *Niedołężną na wieki pozostać musi krytyka tylko ujemna, zapatrzona ciągle w brak piękności – tak jak ślepy człowiek w brak światła – bo wytyka tylko próżnie, nie zapełnione życiem, a od życia twarz odchyla. Coś pięknego ujrzeć, ocenić i uznać jest jedną z największych ducha rozkoszy; lecz takowej zabraniają sobie zwykle krytycy – zajadle pogańskie serce wre im w piersiach, kochają się wściekle w ujemnym siły swojej kierunku. Ten wyłączny kierunek nie za część, za środek, ale za całość uważają*[10]. Słowa te zaliczył Chrzanowski do najcenniejszych, jakie wyszły spod pióra poety i zauważył, że wartości książki T. Piniego dostrzega nie tylko z rozkoszą, ale i z obowiązku recenzenta. Jeżeli odwołamy się do referatu wygłoszonego podczas sesji naukowej w 1999 roku[11], w którym Mirosław Strzyżewski przypomina, że artykuł Krasińskiego *Kilka słów o Juliuszu Słowackim* T. Pini nazwał *jednym z największych arcydzieł naszej krytyki literackiej* i w szczegółowych rozważaniach nie zaprzeczył temu twierdzeniu, tylko je uzasadnił, to docenimy stanowisko autora tej książki i jej recenzenta, który był przekonany, że *nie pomylił się instynkt moralny i narodowy narodu polskiego, jak nie pomyliło się jego poczucie estetyczne, zaliczając Krasińskiego nie tylko do swoich wielkich poetów, ale i do trójcy największych*[12].

W Polsce zwasalizowanej, stanowiącej składową część totalitarnego imperium sowieckiego, w którym obowiązywała zasada, że dobre jest wszystko to i tylko to, co służy jego interesom, w Polsce, której pierwszym prezydentem był oficer sowieckiej policji

---

10. I. Chrzanowski – *Monografia...* op. cit.
11. Mirosław Strzyżewski – *Zygmunta Krasińskiego <<Kilka słów o Juliuszu Słowackim>> jako tekst krytycznoliteracki* w: *Zygmunt Krasiński - nowe spojrzenia* pod red. Grażyny Halkiewicz – Sojak i Bogdana Burdzieja. Toruń 2001.
12. I. Chrzanowski – *Poezja* ...op. cit. s.292.

politycznej, a współautorem jej konstytucji Józef Stalin, Z. Krasiński został otoczony zmową milczenia i przez komisarzy nadzorujących życie duchowe Polaków skazany na zapomnienie. Decyzja ta była podyktowana nie tylko tym, że poeta ten należał do bezwzględnie niszczonej przez komunistów arystokracji, ale także i tym, że w swojej twórczości przez całe życie pozostał wierny Kościołowi katolickiemu i swoim przekonaniom religijnym, a walka z religią była jednym z głównych zadań aparatu partyjnego i państwowego budowanego przez pełniących obowiązki Polaków politruków sowieckich, jak zaraz po wojnie zaczęto ich nazywać. W Polsce nie można było niewolniczo kopiować wzorów sowieckich - zburzyć kościoły i wymordować księży, jak pod kierunkiem Włodzimierza Lenina i Józefa Stalina zrobiono w ich państwie. Dopiero dzisiaj ze zgrozą dowiadujemy się, że zamordowano tam dwieście tysięcy kapłanów, w tym ponad trzydziestu biskupów, a z trzystu tysięcy cerkwi nie zostało zburzonych tylko dwa tysiące, a i te zamieniano na magazyny albo muzea ateizmu. Przebiegły strateg, kontynuator dzieła Lenina planował stopniowo i powoli pozbawić Polaków religii i poczucia tożsamości narodowej, stąd też gdy Wanda Wasilewska wystąpiła z postulatem włączenia Polski do *rodziny* narodów sowieckich jako siedemnastą republikę, orzekł, że jest ona dobrą komunistką, ale nie zna Polaków.

Milczenie, jak wiadomo, łatwo zadekretować, ale trudno zapewnić mu trwałość. Tym bardziej, że w roku 1959 mijała setna rocznica śmierci tego genialnego poety, niezwykle dociekliwego krytyka literackiego, który dostrzegł talent J. Słowackiego i postawił tego poetę obok A. Mickiewicza, a także obdarzonego niezwykłą intuicją myśliciela, a za trzy lata sto pięćdziesiąta rocznica jego urodzin. Ponadto emigracyjni krytycy i historycy literatury, którzy nie uznawali pojałtańskiej Polski, opublikowali w Londynie w 1951 roku książkę jubileuszową poświęconą Juliuszowi Słowackiemu, a w roku 1955 następną pod wymownym tytułem *Mickiewicz żywy,* zatem należało się spodziewać, że nie pominą oni również setnej rocznicy śmierci Z. Krasińskiego. I rzeczywiście staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w roku 1959 ukazała się praca zbiorowa –

Krasiński żywy, a w niej między innymi wspomnienia Edwarda Raczyńskiego[13] i artykuły Wiktora Weintrauba, Oskara Haleckiego, Marii Danielewicz, Aleksandra Janty oraz napisany mistrzowskim piórem I. Chrzanowskiego rozdział nie wydanej do dzisiaj książki tego autora zatytułowany - *Osobowość Krasińskiego*. W ten sposób praca poświęcona Z. Krasińskiemu stała się także hołdem złożonym wielkiemu humaniście, profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, wychowawcy wielu pokoleń polonistów, a wśród nich i dra Michała Dadlesa, utalentowanego polonisty Gimnazjum i Liceum im. Zygmunta Krasińskiego w Ciechanowie. Poważny dorobek naukowy Ignacego Chrzanowskiego, który zmarł w Sachsenhauzen, w obozie hitlerowskim w nocy z 19 na 20 stycznia 1940 roku, nazywano bogoojczyźnianym, co stanowiło wówczas wystarczające uzasadnienie, żeby go nie udostępniać zainteresowanym czytelnikom aż do roku 1971 i żeby zawarte w nim sądy dotyczące twórczości Zygmunta Krasińskiego stały się niecenzuralne. Tymczasem, jak się okazało, po przeszło czterdziestu latach od ich opublikowania inspirują one do badań nad osobowością i spuścizną literacką tego genialnego poety najwybitniejszych współczesnych historyków literatury i są cytowane w ich pracach. Równie wartościowe i interesujące są i inne zamieszczone w tej książce artykuły. Tytułem przykładu wystarczy wskazać na rozważania wybitnego historyka – Oskara Haleckiego, który zajął się filozofią historii Krasińskiego. Historiozoficzne poglądy autora *Przedświtu* omówił w kontekście stanu badań dotyczących dziejów narodu polskiego w epoce, w której żył i tworzył poeta i wyników badań późniejszych historyków. Zwrócił uwagę na jego poglądy dotyczące podziału historii Polski i powszechnej, inaczej mówiąc periodyzacji. Zauważył, że *w pierwszym ze swych arcydzieł, w <<Nie – Boskiej komedii>>, młodziutki wówczas poeta i myśliciel przewidział z zadziwiającą wyrazistością, że przejście do nowej epoki dziejów zakończy się*

13. Pierwszą żoną ojca tego znanego polskiego dyplomaty i emigracyjnego męża stanu była córka Z. Krasińskiego – Maria, a pierwszym mężem jego matki syn poety – Władysław

nową, straszniejszą od francuskiej rewolucją. Jego wstrząsająca dzisiaj swoją aktualnością wizja rewolucji komunistycznej, ujęta w formę dramatu już w r. 1833, piętnaście lat przed <<Manifestem komunistycznym>> Marksa zamyka się nieoczekiwanie inną zupełnie wizją : ukazaniem się Chrystusa i okrzykiem: <<Galilaee vicisti!>>[14]. Dzisiaj, po wyborze Karola Wojtyły na tron papieski i jego homiliach wygłoszonych w 1979 r., wizja ta ma szczególną wymowę. Tym bardziej, że Krasiński przyszłość ludzkości, jak podkreśla Halecki, uzależniał od kondycji moralnej jednostek i narodów. Źródłem nadziei Polaków, zgodnie z przekonaniem poety, powinny być *nie tyle zwycięstwa przodków w czasach pomyślności , ile niezłomność najlepszych spośród nich nawet w dniach klęski i cierpienia*, a ***przemawiać w imieniu przodków i wyjaśniać potomnym drogi Opatrzności mogą tylko ci, którzy wyrastając z bólu, gardząc zaszczytami i dobrami doczesnymi, służyli <<jak się mogło szczerą chęcią w krwawym trudzie>> [p. m.].*** *Dzięki nim Polska wbrew wszelkim przeciwnościom zewnętrznym mogła spełniać nawet w czasach pozornego upadku zaszczytną misję dziejową przeznaczoną jej przez Boga.* Jak gdyby przewidując negatywny stosunek swoich i obcych do dawnej Rzeczypospolitej i zakłamywanie jej dziejów ostrzegał przed szyderstwem i potwarzą[15].

Komuniści zdawali sobie sprawę, że milczenie w roku jubileuszowym wielkiego poety polskiego byłoby ich taktycznym błędem, stąd w 10(372) numerze *Życia Literackiego* redakcja tego czasopisma zwróciła się do twórców z prośbą o wypowiedzi na temat znaczenia jego dorobku literackiego. Mieli oni odpowiedzieć na trzy pytania: *1) Jakie utwory Zygmunta Krasińskiego stanowią trwałe osiągnięcie literatury polskiej i dlaczego? 2) Czy twórczość Krasińskiego zawiera treści interesujące dzisiejszego a) pisarza? b) czytelnika? 3) Jaką rolę odegrała lub może odegrać twórczość Krasińskiego w europejskiej myśli literackiej?* Z opublikowanych

---

14. Oskar Halecki – *Krasiński jako filozof historii* w: *Krasiński żywy*. Londyn. 1959, s. 238
15. Tamże s.231 – 232.

odpowiedzi wyróżniają się kontrastujące ze sobą sądy Juliana Przybosia i Jarosława Iwaszkiewicza. Pierwszy z nich usłużny, jak zawsze dotychczas wobec komunistów, wśród utworów poety o dziwo nie znalazł żadnego, który by go zainteresował, a *Nie – Boską* komedię nazwał *genialnym kiczem* [Nr 10(372)]. Drugi natomiast wyznał: - *Czytanie <<Nie –Boskiej>>, <<Irydiona>> i <<Niedokończonego poematu>> w bardzo wczesnym dzieciństwie na całe życie zostawiły we mnie ślady. Toteż do dziś dnia Krasiński jest dla mnie jednym z <<wieszczów>> - i nic mnie nie obchodzą wszelkie procesy, które mu wytacza współczesność polska* [Nr 12(374)]. Jest to najodważniejsza wypowiedź wśród tych, które zostały opublikowane. Iwaszkiewicz miał już wówczas taką pozycję wśród komunistów i tak im zależało na wykorzystywaniu jego autorytetu, że mógł sobie pozwolić na tego rodzaju opinię. Niezwykle uczciwej, interesującej i rzeczowej odpowiedzi na pierwsze dwa pytania udzieliła Alina Świderska. Uznała, że nie dysponuje takim wykształceniem, które pozwoliłoby jej odpowiedzieć na trzecie pytanie ankiety. Dostrzegła jednak potrzebę oświetlenia przez kompetentnych historyków literatury wartości dzieł poety w zestawieniu z osiągnięciami wielkich romantyków europejskich i ukazania tego, co z romantyzmu ocalało we współczesnej europejskiej myśli literackiej i pozycji, jaką w niej zajmuje Krasiński. Interesujące, jej zdaniem, mogłoby się okazać porównanie jego liryki ze średniowieczną [Nr 13 (375)]. Wybitny historyk dwudziestowiecznej literatury polskiej i krytyk literacki – Jerzy Kwiatkowski swoją wypowiedź zatytułował – *Przede wszystkim wydać* [Nr 25(387)], gdyż jak zauważył Jerzy Zawiejski – ***Stulecie śmierci Krasińskiego budzi naszą nieczułą pamięć, która zepchnęła autora Nie-Boskiej jak gdyby w swoisty niebyt*** **[p. m.]** [12(374)]. Z tą konstatacją wybitnego dramaturga korespondują zaiste *Cierpkie refleksje* Stanisława Pigonia, ucznia I. Chrzanowskiego, współwięźnia i świadka ostatnich tragicznych dni życia autora *Historii literatury niepodległej Polski,* w których zaprotestował przeciwko pompatycznym i hałaśliwym jubileuszom, po których następuje absolutna cisza. *Latami całymi zapomnienie* – pisze znany

ze swojej bezkompromisowej postawy i uczciwości intelektualnej już w okresie drugiej Rzeczypospolitej profesor UJ – *wspaniała niedbałość, aż raptem zastrzyk ekscytacji, i oto: afisze, gongi, zjazdy. Po czym znowu cisza jak w lamusie.* Po obchodach Roku Mickiewiczowskiego - *Spróbuj , czytelniku, zażądać w księgarniach wydania zbiorowego dzieł Mickiewicza. Zobaczysz jakie oczy na ciebie otworzą.* Ze spuścizną literacką Z. Krasińskiego jest jeszcze gorzej, bowiem *Całe to bogactwo jest dzisiaj zagrzebane w magazynach bibliotecznych, współczesnemu czytelnikowi nie dostępne, nie znane, nawet nie spodziewane.* [Nr 10(372)]. Ludwik Hieronim Morstin, odpowiadając na trzecie pytanie, odwołał się do opinii pisarza i dramaturga austriackiego – Franciszka Teodora Csokora, prezesa PEN Clubu w Wiedniu i poety niemieckiego – Hugo von Hofmannsthala, którzy zachwycali się *Nie –Boską komedią* [Nr 10(372)]. Niektóre sądy wartościujące formułowane przez pisarzy odpowiadających na pytania redakcji *Życia Literackiego* mają charakter dyskusyjny, a nawet mogą budzić sprzeciw dzisiejszego czytelnika, a już pomysły interpretacyjne Jana Kotta i podjęta przez niego próba wtłoczenia myśli Krasińskiego do ideologii marksistowskiej są wręcz kuriozalne, jak na przykład twierdzenie, że *Krasiński miał zupełnie wyjątkowe wyczucie walki klas* [Nr 13(375)]. Miała rację Maria Janion, że opublikowane w *Życiu Literackim* wypowiedzi *przedstawiają sporą wartość dokumentarną dla socjologa literatury*, ale nieprawda, że *dla dziejów recepcji dzieł pisarza* – jak sądziła - *będą zawsze materiałem niezastąpionym* [Nr 25(387)], a to dlatego, że Władysław Machejek - fanatyczny komunista już ochłonął po wstrząsie październikowym 1956 roku i jako redaktor naczelny tego czasopisma toczył na jego łamach bój o czystość ideologiczną, a cenzura powoli zawężała margines wolności słowa. Stefan Żółkiewski jeszcze wcześniej, bo już w roku 1957 publikował artykuły, w których przyznawał, że w okresie przedpaździernikowym popełniano błędy, od których i on nie był wolny, ale duch i kierunek przemian były słuszne. *Tygodnik Powszechny* na jeden z artykułów przywódcy duchowego redaktora naczelnego *Życia Literackiego* zareagował artykułem, którego tytuł

stanowiło znamienne pytanie - *Kulturę wziąć za mordę?* (1957, nr 430). Autorzy odpowiedzi na pytania ankiety *Życia Literackiego* mieli już za sobą dobrą tresurę posługiwania się słowem i wiedzieli za jaką cenę mogą się one ukazać w druku oraz z jakimi konsekwencjami muszą się liczyć w razie przekroczenia dopuszczalnych granic wolności słowa. Wydaje się, że interesujące wyniki przyniosłoby zbadanie, jakich wypowiedzi nie opublikowano i jakie były interwencje cenzury.

W kwietniu 1959 roku Instytut Badań Literackich PAN zorganizował dwudniową (17 i 18) sesję naukową poświęconą twórczości Z. Krasińskiego. Referaty wygłoszone podczas jej obrad zostały opublikowane w książce – *Zygmunt Krasiński. W stulecie śmierci.* Ukazała się ona z opóźnieniem, bo dopiero w sierpniu 1960 roku. Jej faktyczną redaktorką była M. Janion, ówczesna entuzjastka marksizmu – leninizmu, której mistrzem i opiekunem naukowym był główny nadzorca badań literackich - Stefan Żółkiewski i z której karierą naukową wiązał on swoje nadzieje, czemu dał wyraz w wypowiedzi podczas obrad Ogólnopolskiego Zjazdu Polonistów w 1958 roku. Na 256 stron tej książki 149 napisała jej redaktorka, na pozostałych stronach wydrukowano artykuły czterech referentów i posłowie K. Wyki., *Można zrezygnować z Krasińskiego – wieszcza* – czytamy w tym posłowiu - *nikt o to sporu nie będzie wszczynał. Lecz Krasiński – dramaturg, lecz Krasiński – myśliciel historiozoficzny, lecz Krasiński – epistolograf, ten Krasiński, poparty właściwą i nowatorską motywacją, w wielkim romantyzmie posiada miejsce trwałe.* Wyraził pogląd, ze dotychczasowe milczenie nie zaszkodziło, a pomogło Krasińskiemu, bo nie trzeba z jego dzieł usuwać *pokostu bieżącej publicystyki, bieżącej dydaktyki ideologicznej,* nie zostały bowiem poddane prymitywnej, aktualizującej interpretacji[16]. M. Janion była wówczas nieznana w środowisku polonistycznym, stąd w książce zostały zamieszczone referaty Konrada Górskiego i Stefanii Skwarczyńskiej, której prace przed 1956 rokiem były

16. K. Wyka – *Posłowie* do *Zygmunt Krasiński. W stulecie śmierci,* Warszawa 1960, s.238.

niejednokrotnie przedmiotem drwin S. Żółkiewskiego ze względu na to, że ich autorka nie ukrywała swoich przekonań religijnych. W sto pięćdziesiątą rocznicę urodzin autora *Psalmów przyszłości* ukazała się książka M. Janion – *Zygmunt Krasiński – debiut i dojrzałość.* We wstępie do niej czytamy: *Pierwszym jej zarysem był referat wygłoszony na konferencji naukowej, poświęconej twórczości poety. Podjęcie tej tematyki stanowiło nie tylko konieczność jubileuszową, lecz przede wszystkim naukową. Jakkolwiek mocno już zblakła aktualność problemu <<trójcy wieszczów>>, wciąż żywotne pozostaje zadanie określenia miejsca Zygmunta Krasińskiego w historii literatury polskiej, zwłaszcza zaś ukazania organicznej więzi jego twórczości z rozwojem romantyzmu. Obraz polskiej literatury romantycznej bez Krasińskiego musi być zubożony i fałszywy, zwłaszcza jeśli nie zapewni się właściwego miejsca << Nie – Boskiej komedii>>, jednemu z arcydzieł dramatu europejskiego, utworowi odkrywczemu i śmiałemu w widzeniu najdonioślejszych problemów epoki*[17]. Ukazanie się tej interesującej i pierwszej po drugiej wojnie światowej rozprawy naukowej poświęconej wielkiemu poecie J. Przyboś przywitał złośliwą uwagą, że praca naukowa z historii literatury tym się różni od plagiatu, że nie została przepisana z jednej książki, tylko z wielu i skomponowana z ich fragmentów[18].

Milczenie wokół życia i dzieła Z. Krasińskiego zostało przerwane, ale jak zauważył Andrzej Waśko, dystansowanie się *od ideowej spuścizny Krasińskiego na równi z odmawianiem wartości artystycznej większej części jego utworów stało się jedną z rytualnych form pisania o autorze <<Irydiona>> i to nie tylko wśród krytyków związanych z marksizmem*[19]. Uzasadnienia tej postawy nie można było znaleźć w książkach Kleinera, Piniego i Brücknera, a tym bardziej w artykułach Chrzanowskiego, wobec tego posługiwano się frazesem, że już w okresie dwudziestolecia

17. M. Janion – *Zygmunt Krasiński – debiut i dojrzałość*, Warszawa 1962, s. 7.
18. *Przegląd Kulturalny* 1962, nr 33.
19. A. Waśko – Zygmunt Krasiński. Oblicza poety, Kraków 2001, s.

odmawiano Krasińskiemu miana genialnego poety. Do kuriozalnych należy fakt, że postulując konieczność odbudowy pałacyku w Opinogórze, działacze Towarzystwa Miłośników Ziemi Ciechanowskiej, a wśród nich Robert Bartołd i Jan Korzybski musieli mówić, że nie idzie im o kultywowanie tradycji rodu Krasińskich, ani utrwalenie pamięci *reakcyjnego* poety, a o to, żeby z odrestaurowanych hrabiowskich budynków mogli korzystać robotnicy folwarczni. Po licznych zabiegach udało się odbudować pałacyk Zygmunta Krasińskiego. Ulokowane w nim muzeum nie mogło nosić imienia poety, tylko epoki , w której żył i tworzył. Gimnazjum i Liceum, a następnie Liceum Ogólnokształcące im. Zygmunta Krasińskiego oficjalnie nie zostało go pozbawione, ale nie mogło go używać.

O obecność dorobku poetyckiego Zygmunta Krasińskiego we współczesnej kulturze polskiej i o jego obiektywną, naukową ocenę upomniał się w roku 1974 jeden z największych Polaków w naszych dziejach, ówczesny Metropolita Krakowski, rozkochany w poezji Franciszka Karpińskiego i Cypriana Kamila Norwida, filozof i autor utworów poetyckich - Karol Wojtyła. Pod jego patronatem 14 i 15 czerwca tego roku obradowali w Pałacu Biskupim w Krakowie uczestnicy sesji naukowej poświęconej twórczości Z. Krasińskiego. Najważniejszy referat wygłosił wówczas nie historyk literatury, a poeta, Paweł Hertz, który w momencie, gdy zauważył, że komuniści i ich sługusi niszczą kulturę narodową, już w styczniu 1949 roku na zjeździe Związku Literatów Polskich zjawił się w czarnym garniturze, a na pytanie dlaczego tak się ubrał, odpowiedział, że taki kolor ubrania obowiązuje w czasie pogrzebu, a on przyszedł na pogrzeb literatury polskiej. Wycofał się z udziału w bieżącym życiu literackim i zajął się edytorstwem. Pod jego redakcją w 1973 roku ukazały się trzytomowe *Dzieła literackie* Z. Krasińskiego. Zaopatrzył je w *Noty i uwagi,* które w trzecim tomie wypełniły prawie pięćset stron druku. We wstępie do nich zauważył, że *Zrozumienie intencji pisarza, właściwą ocenę jego koncepcji moralnych i intelektualnych utrudniały nade wszystko czynniki wtórne, biograficzne, jak jego pochodzenie, niechęć okazywana jego ojcu, a także te wszystkie, tak*

dobitnie występujące w listach cechy, jak krytyczna postawa względem wielu uchodzących za niezbite prawd pozornych, wstręt do wszelkiego doktrynerstwa, głębokie poczucie wartości istoty ludzkiej, szczera, choć w różnych okresach rozmaicie wyrażająca się religijność, rozległy horyzont historiozoficzny, zdolność przewidywania i wynikający z niej pesymizm w ocenie biegu spraw, a zarazem niezbita wiara w ich odległe, późne, pomyślne rozwiązanie, wierność okazywana trwałym wartościom cywilizacji europejskiej, opartej o antyk i chrześcijaństwo, pogarda dla środków niegodnych, choćby wieść miały do najszlachetniejszego celu, słowem to wszystko, czym Krasiński tak zdecydowanie różnił się od wielu Polaków piszących[20].

Pierwsze po wojnie wydanie utworów literackich Z. Krasińskiego, krakowska sesja naukowa, która dowiodła, że jest to poeta żywy, pojawienie się na rynku księgarskim kolejnych tomów jego olbrzymiej korespondencji, a także listów jego żony, powstanie nielegalnych, niezależnych od cenzury wydawnictw, stopniowe poszerzanie wolności słowa, to czynniki, które wpłynęły na wzrost zainteresowania poetą i jego dorobkiem literackim nie tylko wśród historyków literatury i polonistów – nauczycieli szkół średnich, ale również wśród szerszego kręgu czytelników. Już w roku 1977 w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej pojawiła się opowieść biograficzna pióra Zbigniewa Sudolskiego, ówczesnego docenta Uniwersytetu Warszawskiego. Jej duży, bo dziesięciotysięczny nakład szybko został wyczerpany i w roku 1983 ukazała się po raz drugi, a w roku 1997 jej nowa, znacznie poszerzona wersja.

Z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości i zniesienia cenzury zaczęło się ukazywać coraz więcej artykułów i rozpraw z tego zakresu, ale renesans w rozwoju badań nad osobowością i twórczością Z. Krasińskiego, a zwłaszcza w publikowaniu ich wyników związany jest z przypadającą w roku 1999 sto czterdziestą rocznicą jego zgonu. Warto podkreślić, że związane z tą rocznicą

---

20. P. Hertz – *Wstęp do <<Not i uwag>>* w: Zygmunt Krasiński – *Dzieła literackie*, Warszawa 1973, t. III, s. 268.

obchody poprzedziło wydanie w serii Ciechanowskiego Towarzystwa Naukowego rozprawy pt. *Myśl polityczna Zygmunta Krasińskiego,* napisanej przez Andrzeja Fabiańskiego, młodego pracownika naukowego Uniwersytetu Warszawskiego. Rezultatem trzydniowej konferencji naukowej, zorganizowanej we wrześniu 1999 roku przez Zakład Historii Literatury Romantyzmu i Pozytywizmu UMK jest książka, licząca 580 stron, w której zamieszczono prace trzydziestu trzech autorów, reprezentujących trzy pokolenia uczonych. Nie sposób nawet pobieżnie zarysować treści tej publikacji, wystarczy powiedzieć, że są to, jak informuje jej tytuł, rzeczywiście *nowe spojrzenia* zarówno na osobowość Z. Krasińskiego, jak i jego dzieło. Referaty zgrupowano w sześciu rozdziałach dotyczących biografii i psychologii twórczości, jej kontekstów i idei, interpretacji prozy, dramatów i liryki, dialogu poety ze swoimi współczesnymi i recepcji jego utworów. Niektóre z nich są wręcz rewelacyjne, jak chociażby Tatiany Olejnik – *O Polsce, Rosji, Europie i wolności. Zygmunt Krasiński w świadomości drugiej emigracji*, czy Z. Sudolskiego – *Zygmunt Krasiński jako człowiek.* Referat ten prezentował Profesor również uczestnikom konferencji naukowej zorganizowanej przez Wyższą Szkołę Humanistyczną w Pułtusku i Muzeum Romantyzmu w Opinogórze, w książce zaś, która jest rezultatem tego spotkania, zatytułowanej *Piekło miłości* i ukazała się w Pułtusku w 2000 r. pod redakcją Janusza Rohozińskiego, przedstawił *Zygmunta Krasińskiego w świetle listów żony.* Ponadto opublikowano w niej studia Andrzeja Fabiańskiego, Janiny Kamionki – Staszakowej, Edwarda Kasperskiego i Eligiusza Szymanisa. Należy odnotować również dwie prace monograficzne, cytowaną już - *Zygmunt Krasiński. Oblicza poety* Andrzeja Waśko i *Chrześcijańską wizję dziejów* (Lublin 2002) pióra ks. Jana Siennickiego. Obydwie uświadamiają nam, jak ten genialny poeta, *który <<nie chciał śpiewać na rozpaczy nucie>>, a starał się [...] przemawiać głosem proroka nadziei*[21] jest bliski współczesnemu czytelnikowi. Pierwsza

21. A. Waśko – op. cit. s.400.

ukazuje poetę także jako wielkiego teoretyka poezji, druga natomiast antropologa i historiozofa chrześcijańskiego. Jestem przekonany, że kto sięgnie po te książki i poświęci nieco czasu na ich lekturę, poczuje się człowiekiem duchowo bogatszym. Zacytowawszy fragment listu poety z 1830 roku, A. Waśko pisze: *Po raz pierwszy pojawiają się w [nim] takie kluczowe pojęcia jak, z jednej strony <<myśl>> i <<prawda>>, które Krasiński zaczyna tu traktować jako cechy dzieła literackiego decydujące o jego wartości estetycznej (<< prawda i tylko prawda może być piękną i ponętną w naszym wieku>>); z drugiej strony głupstwem nazwana zostaje <<szumność>>, a jednocześnie potępienie spotyka też << ozdóbki i kwiatki stylu>> - <<kiedy myśli nie ma>>* (s.129). Rozważania poety w innym z listów autor tej książki tak syntetyzuje: *Nie należy unikać emocji ani się ich wstydzić. Poezja jest bowiem bezpośrednią emanacją uczuć. Szczerość wyrazu jest warunkiem piękna, oryginalności, siły oddziaływania na odbiorców* (s.235). Za sztukę najbardziej spokrewnioną z poezją słusznie uważał Krasiński muzykę. Chciałoby się te sądy zadedykować tym wszystkim poetom współczesnym, których utwory są jedynie zabawą słowami, które nie zawierają żadnej głębszej myśli. Godzi się podkreślić, ze ks. J. Siennicki zdecydowanie odrzucił oskarżenia poety o antysemityzm i stanowisko to gruntownie uzasadnił. Zarzut ten postawiła autorowi *Nie – Boskiej komedii* i M. Janion w cytowanej tu już książce (s.209 –210).

Te niepełne informacje, moim zdaniem dowodzą, że dzieło Z. Krasińskiego jest żywe, przetrwało i wygrało walkę z czasem. W naszej niełatwej epoce może nam pomóc w obronie naszego człowieczeństwa i tożsamości narodowej. Trzeba zatem sięgać do niego, najpierw do utworów oryginalnych, a później i do opracowań. Można bowiem o nim powiedzieć to samo, co o H. Sienkiewiczu mówił nad jego trumną ks. Antoni Szlagowski – *Pokazał nam jak się kocha Chrystusa aż do męczeństwa i jak się kocha Polskę aż do bohaterstwa i my u trumny wielkiego męża czujemy się Polską. Jedno jest uderzenie naszych serc, jedna oddechu miara. Jesteśmy Polską zjednoczoną w teraźniejszości i przyszłości, Polską*

nieśmiertelną, albowiem w nas jest duch narodu nieśmiertelny[22]. Warto, żebyśmy o tym pamiętali i pozostali wierni testamentowi wielkich Polaków.

• **Henryk Kaczorowski**, dr nauk humanistycznych, emerytowany nauczyciel Akademii Podlaskiej w Siedlcach, autor zauważonej przez historyków literatury i myśli pedagogicznej rozprawy naukowej o Bolesławie Prusie, kilkunastu artykułów i recenzji. W latach 1962 – 1975 pracował w Ciechanowie. Po dwudziestu latach wrócił do swego miasta, aktywnie uczestniczy w życiu artystycznym i intelektualnym. Inicjator i współorganizator Mazowieckiego Oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Przy bezinteresownej pomocy profesorów Tadeusza Pilcha i Józefa Borzyszkowskiego oraz kolegów z Siedlec opracował projekt powołana Państwowej Wyższej Szkoły Humanistycznej w Mławie. Współautor koncepcji studiów wyższych w zakresie filologii polskiej z logopedią, tymczasowo pełnił obowiązki dyrektora powołanego w Mławie Instytutu Filologiczno – Historycznego. Po czterech miesiącach faktycznego, a dwóch formalnego pełnienia tych obowiązków rozpoczął starania o zwolnienie go ze stanowiska dyrektora, uzyskał je dopiero 1 maja 2002 r.

---

22. Z filmu dokumentalnego – *Larum grają...*

W oficynie

Powietrze zda się
drga ciszą
pustka znieruchomiała
słucham tej ciszy
z niej schodzi polski duch

plamy zaklęte w stare płótna
odbijają blask moich oczu

blask ten rodzi
w starej karczmie ruch
z krzywych okien uciekają oddźwięki muzyki
a konie za nutami pędzą że hej

gwarne burze żaków
zmieszane z szumem sosen
i świstem szabli
tej od Samosierry
dzwonią po ścianach

stary Żyd bezwstydnie liczy konopie
które Maria trzyma w ramionach od lat

przestrzeń pełna jest dłoni
w każdej z nich
ocieka paleta
kapie z niej czas
jak werniks wysycha
i lśni

• **Ewa Stangrodzka** – poetka, przewodniczka, prezes Stowarzyszenia Pracy Twórczej w Ciechanowie.

Zderzenie postaw i poglądów

Ojciec i syn

Związki Zygmunta Krasińskiego z ojcem – Stanisław Pigoń określał je mianem „długiego dialogu prowadzonego w specyficznej teatrologii dramatycznej" – trwały nieomal przez całe życie poety. Generał Wincenty zmarł zaledwie trzy miesiące przed synem, matka, kiedy poeta miał dziesięć lat, przeto relacje „ojciec i syn" miały szczególne znaczenie. W tym przypadku miłość i więź rodzicielska skumulowały się, osiągając wyjątkowo wysoką temperaturę. Wpływ, jaki wywierał generał na syna rzutował nie tylko na jego życie osobiste, ale pozostawił też ślady w jego twórczości, co nie trudno dostrzec w „Nie – Boskiej komedii".

Zygmunt był bardzo oczekiwanym dzieckiem. Czekano na jego przyjście z dużym niepokojem. Wcześniej urodziły się dwie córeczki: Laura i Maria, ale zmarły zaraz po przyjściu na świat. Maria Krasińska chorowała na gruźlicę, na którą w tamtych czasach nie znano lekarstwa, dlatego obawy były w pełni uzasadnione. Warto też zwrócić uwagę na datę, miejsce oraz okoliczności, w jakich narodził się trzeci wieszcz.

Rok 1812 był rokiem nadziei dla Polski i Polaków, generał który przebywał w najbliższym otoczeniu Napoleona, lepiej od innych musiał znać cesarskie plany odnośnie ojczyzny. Miejscem narodzin mogły być tylko koszary w Chantilli albo mieszkanie w Paryżu, bo ani dom rodzinny w Dunajowcach, ani pałac w Warszawie przy Krakowskim Przedmięściu 410 nie wchodziły w rachubę. Czyli nieustanne falowanie między radością i niepokojem – taki zapewne musiał być stan duchowy generała w pierwszych dniach lutego 1812 r.

Kiedy wreszcie 19 lutego dziecko ujrzało światło dzienne, napięcie sięgnęło szczytu. Chłopiec to wielka radość, bo ród miał być

przedłużony, natomiast lękano się, czy dziecko będzie żyło. Krasińskiemu marzyło się, aby syna zechciał podawać do chrztu sam cesarz, o czym go osobiście zapewniał. W tych zabiegach mogła pomóc Maria Walewska zaprzyjaźniona z panią Krasińską, ale o przygotowaniach i o chrzcie w kościele na razie nie można było marzyć, trzeba było działać szybko. Dlatego narodziny jak i chrzest (z wody) odbył się w domu przy ulicy Boulevard Montmarte 10 w Paryżu. Rodzicami chrzestnymi zostali Maria Walewska z pułkownikiem Ludwikiem Pacem oraz Piotr Krasiński z księżną Jabłonowską. Przy ceremonii chrztu asystował adiutant Napoleona, który ofiarował dziecku kilka zabawek srebrnych od cesarza. Chłopcu nadano pięć imion – Napoleon, Stanisław, Adam, Feliks i Zygmunt, co miało podkreślić, że cesarz będzie czuwał nad nim.

W maju 1812 r. Pułk dowodzony przez gen. Wincentego Krasińskiego wyruszył w stronę Księstwa Warszawskiego, a 22 czerwca tego roku rozpoczęła się wojna Francji i Rosji. Wojna ta, nazywana drugą wojną polską, miała nam przynieść pełną niepodległość. Tymczasem były to tylko nasze polskie marzenia, które pokrzyżowała sroga zima i klęska armii napoleońskiej. W końcowej fazie wojny kontuzja i choroba generała Krasińskiego sprawiły, że jeszcze przed zawieszeniem broni dotarł on do Paryża i połączył się z rodziną. Wtedy, w 1813 r. mały Napoleon – Zygmunt obdarzony został godnością adiutanta następcy tronu i króla rzymskiego. Generał do abdykacji pozostał wierny Napoleonowi, a kiedy w kwietniu 1814 r. cesarz zwolnił go od przysięgi, wówczas przeszedł na służbę do cara Aleksandra I. Postanowił do czynnej służby nie wracać. Marzył mu się kominek, ciepłe piwko i życie rodzinne. Była to jednak tylko krótka chwila niepewności politycznej, która nawiedziła go po wielkim zmęczeniu wojną. W służbie wojskowej pozostał do końca życia.

Śledząc działania polityczne, kulturalne, społeczne, gospodarcze i wojskowe gen. Wincentego Krasińskiego dostrzegamy, że zawsze najważniejsze dla niego były problemy syna.

Bliski i stały kontakt z Zygmuntem nierzadko prowadził do konfliktów, jako że różne były charaktery, poglądy polityczne i

upodobania tych dwóch Panów. Szczególnie wyraźnie wystąpiło to w okresie powstania listopadowego. Do starć dochodziło też z powodu różnych programów filozoficznych, czy upodobań literackich. Tak było, kiedy gen. Wincenty organizował słynne obiady literackie, na których spotykali się i toczyli spory klasycy z romantykami. Generał był orędownikiem klasycyzmu, a w tym samym czasie jego syn, w gronie studenckim, był nosicielem i propagatorem idei romantycznych.

Ojciec często ingerował w osobiste życie Zygmunta. Szczególnie aktywnie i konsekwentnie, a nawet z pewną dozą brutalności, prowadził go do małżeństwa. Nie liczył się wówczas z upodobaniami syna, wtedy cel uświęcał środki.

Nie wszystkie plany udawało się ojcu doprowadzić do końca. Na przykład nie zdołał uczynić z Zygmunta służalczego urzędnika carskiego, Choć tu w niemałym stopniu pomógł Zygmuntowi przypadek. Zaczęło się od przykrego incydentu na studiach, pośrednio związanego z kompromitującą postawą ojca w czasie Sądu Sejmowego, a zakończyło relegowaniem Zygmunta z uniwersytetu. To sprawiło, że nie mógł on skończyć studiów na Wydziale Prawa i Administracji i wejść na drogę kariery urzędniczej. Podobnie było, gdy Generał chciał uczynić z syna wiernego poddanego carskiego. Wówczas w sukurs przyszła mu choroba oczu nasilająca się w mroźnym klimacie petersburskim. Znowu umknął on spod kurateli ojcowskiej, uzyskując od cara Mikołaja I przedłużenie paszportu, co pozwoliło na wyjazd za granicę.

Nie udało się też odwieść Zygmunta od poezji, ojciec chętniej widziałby go w roli dobrego gospodarza, jeśli nie mógł zrobić z niego urzędnika. Nie można zatem generalizować, że ojciec zawsze skutecznie kierował życiem syna. Niemniej, przy tak przeciwstawnych charakterach, z jednej strony wyćwiczonego w żołnierskiej dyscyplinie i przyzwyczajonego do wydawania rozkazów ojca, z drugiej zaś – wrażliwego, uległego syna o skłonnościach hipochondrycznych, wiadomo, że ojciec zawsze musiał dominować. Poza tym Zygmunt naprawdę kochał ojca. A generał potrafił z bogatego arsenału wybierać różne środki nacisku. Były to nie tylko

nakazy, które skutkują do pewnego wieku, ale też aura bohaterstwa, którą się otaczał dopóki trwał mit napoleońskiej sławy. Legendę rodu przekazywał w teatralnej scenerii domu napełnionego starożytną bronią, portretami przodków i cennymi księgozbiorami. Potrafił również otaczać syna olśniewającym bogactwem. Kiedy w sierpniu 1832 r. Wezwał go z Italii do Opinogóry, aby stąd zabrać do Petersburga, pokazał jakim jest hrabią. Zygmunt tak opisał to spotkanie w liście do Henryka Reeve.

„Mój drogi Henryku, list Twój otrzymałem godzinę temu, siedząc w pokoju, który Ci opiszę. Ściany białe bez obić; w oknach firanki zielone i białe; pod ścianą wspaniały fortepian; obok na stole gotowalnia ze szczerego srebra; kubki, lustra i wszystkie te drobiazgi służące do czyszczenia paznokci, zębów, włosów itd., itp., flakony pełne wybornych perfum; dalej kominek, a na nim dwa niewielkie globusy; dalej z boku, zawieszone na ścianie, lśnią trzy dubeltówki, dwa rogi myśliwskie nabijane złotem i kością słoniową, szabla, wykładane srebrem damasceńskiej roboty pistolety, torby myśliwskie, prochownice itd.; dalej drzwi, dalej piec; dalej moje łóżko pod kątem prostym do pieca, a na nim wytworna pościel i kaszmirowy szlafrok; tuż koło mnie ogromna szkatuła na podręczne drobiazgi, w której znalazłem po przyjeździe cztery tysiące florenów i gdzie złożyłem listy Henrietty; dalej biurko, na którym stoi brązowa starożytna waza, a w niej bukiet kwiatów, dokoła zaś moje angielskie książki i moja pozytywka, krzyż z Koloseum, sztylet i wszystkie znane Ci przedmioty. Oto mój pokój. W chwili gdym otrzymał twój list, siedziałem u boku kobiety, która grała i śpiewał dla mnie. Znasz ją: to pani Załuska. Co powiesz na to wszystko mój drogi: Otom nagle wielki pan, ja mizerak! To ojciec przygotował tak wszystko na mój przyjazd. Z okien widzę w dolinie gotycki zamek, który buduje się dla mnie, z wieżą ozdobioną rozetami i mauretańskimi kolumnami, dalej, w dole, trzy stawy i mnóstwo zieleni. Widziałem się z ojcem. Gdybyś zobaczył łzy, co ciekły mu po bliznach i po wąsach, kiedy mnie przyciskał do serca! A potem poszliśmy razem do grobowca mojej matki i tam, w obliczu tej trumny, którą Ci opisałem w „Adamie",

dał mi swoje błogosławieństwo. Słodkie i święte jest ojcowskie błogosławieństwo."

Podczas takich dialogów nierzadko pojawiały się łzy. Wtedy, gdy ujrzał syna po trzech latach rozłąki, zapewne były to łzy szczere, spontaniczny objaw ojcowskiej miłości. Wzbogacił ten moment wizytą w podziemiach opinogórskiej kaplicy, gdzie na łańcuchach wisiała trumna matki, a pod ścianami paliły się pochodnie. W takiej to teatralnej scenerii udzielił synowi błogosławieństwa. Czyż nie wyczuwamy tu przemyślanej taktyki generała? Przecież za chwilę czekała go trudna rozmowa, w której miał wytłumaczyć się ze swego patriotyzmu objawionego przez zdradę narodowego powstania i przygotować syna na wyjazd do Petersburga...

Ale były też generalskie łzy wyciskane przez złość, gdy nie mógł on przekonać Zygmunta do związku z Elizą Branicką, a później do wywiązania się z obowiązków małżeńskich. Były też łzy rozmiękczające i wzruszające poprzez obłożną chorobę albo podeszły wiek lub bezgraniczne zmęczenie spowodowane trudami wojennymi.

Śledząc te kontakty ojca z synem, chcąc je lepiej zrozumieć, warto bliżej poznać charakter tego związku. Bezspornie łączyła ich wielka miłość . Ojciec wiedział o tym i nieustannie zabiegał o utrzymanie wysokiej temperatury tego uczucia. Nie dostrzegał jednak upływu czasu i zmiany osobowości Zygmunta, dlatego często stosował metody naiwne, a nawet poniżające. Tak było wobec 26 – letniego Zygmunta, kiedy chciał przerwać jego romans z Joanną Bobrową i wystąpił do niej żądając zrzeczenia się praw do syna na piśmie. Nie jeden raz było to źródłem dramatów Zygmunta, kiedy musiał godzić synowską miłość z zachowaniem czy postawą polityczną ojca, której nie aprobował.

Drugim istotnym czynnikiem była przestrzeń i czas, jakie dzieliły ich od siebie. Całymi latami kontaktowali się ze sobą jedynie drogą korespondencji, stąd obraz tej rodzicielskiej symbiozy należy rozpatrywać ostrożnie. W jednym z listów do ojca pisał Zygmunt, że już nie będzie go okłamywał i nic przed nim zatajał, tak jak robił to

wcześniej, czyli nie zawsze mówił prawdę. Podobnie i ojciec nie przekazywał mu pełnych relacji o swoim życiu prywatnym. Tak było w Petersburgu, gdzie przebywał w okresie powstania listopadowego prowadząc kompromitującą działalność.

Tak więc, ten związek miał swoje dobre i złe strony. Za dobrą niewątpliwie należy uznać fakt, że Zygmunt przez całe życie wolny był od kłopotów materialnych. Sprawy gospodarcze lepiej czy gorzej prowadził ojciec, chciał zagwarantować stabilność ekonomiczną, dlatego usilnie zabiegał o stworzenie ordynacji, co mu się ostatecznie udało w 1844 roku. Natomiast poeta uważał, że wygodniej jest żyć z kapitału i operacji bankowych niż z uprawy ziemi, co nie świadczy, że nie znał się na gospodarce i nie cenił tego zawodu. Na operacjach bankowych nie najlepiej wyszedł, bo w 1859 r. stracił w Paryżu znaczną sumę i zdołał odzyskać zaledwie nieznaczną jej część.

Natomiast złą stroną rodzicielskiego związku była zaborcza, apodyktyczna miłość generała, który bazując na trwałym synowskim uczuciu, zniewalał go wbrew jego woli. Przykładem takich działań są trzy ważne wydarzenia w życiu poety. Wszystkie rozgrywały się w Opinogórze, bądź miały tam swój finał, Opinogóra zawsze była silnym atutem w planach generała. Zygmunt nie urodził się, ani nie umarł w tej miejscowości, ale tu spędzał dzieciństwo i młodość. W 1822 r. w podziemiach miejscowej kaplicy złożono trumnę z prochami jego matki i tu formowała się jego poetycka osobowość. Ojciec rozumiał to i dlatego ważne partie z życia syna rozgrywał w Opinogórze

Tak było w 1832 r., kiedy wezwał go z Genewy, aby wytłumaczyć się z kompromitującej postawy w momencie wybuchu powstania i przygotować na wyjazd do Petersburga. Jak dramatyczna musiała być ta chwila dla poety, który przecież przed rokiem pisał do ojca:

„Teraz nadchodzi dla mnie uroczysta chwila. Zmuszony jestem powiedzieć ojcu, którego kocham i kochałem zawsze nade wszystko, że pójdę przeciw jego woli, że będę się starał do Polski wrócić, że to jedynem od dzisiaj staje się celem myśli i działań".

A teraz trzeba było stawić się na wezwanie ojcowskie w Opinogórze i jechać do Petersburga. Podobnie w 1838 r., kiedy zapragnął definitywnie przerwać romans Zygmunta z Joanną Bobrową i na decydującą rozmowę wezwał go do tej miejscowości. Wreszcie pomocna w realizacji ojcowskich planów była Opinogóra w 1843 r., kiedy tu urządzono przyjęcie weselne po ślubie poety z Elizą Branicką. Jak wiemy, do związku tego doszło wbrew woli Zygmunta, który wtedy kochał Delfinę Potocką.

W I poł. XIX w. wiele mówiło się o generale Wincentym Krasińskim jako zwycięzcy spod Samosierry, a później o jego przejściu na pełny serwilizm wobec dworu petersburskiego. Natomiast Zygmunt, który zawsze pragnął zachowywać anonimowość, pozostał w cieniu. Jednak z upływem lat role te zmieniły się – ojciec popadał w zapomnienie, a syn wyrósł na trzeciego wieszcza romantycznego. Dziś, kiedy śledzimy jego życie i analizujemy twórczość, nie wolno zapominać o osobie generała, jako że jego wpływ na syna był ogromny. Związek ten nie jest jeszcze do końca rozpoznany i wymaga dalszych badań.

• **Janusz Królik** – kustosz i dyrektor Muzeum Romantyzmu w Opinogórze.

Miłośnik ziemi rodzinnej

Jest najstarszym synem Aleksandra Korzybskiego, ostatniego przed wojną komendanta posterunku policji w Opinogórze. W osadzie tej, przeżył z ojcem najpiękniejsze chwile swego życia. Musieli się rozstać na początku września.

- Ale potem jeszcze przez kilka lat, jako chłopiec, zbierałem dla niego niemieckie pety. Wierzyłem, że ojciec wróci. Był dla mnie największym autorytetem - wyznaje po latach Jan, jego pierworodny.

Duży, kolorowy portret Aleksandra Korzybskiego: przystojnego, gładko uczesanego starszego sierżanta w granatowym mundurze, do dziś zajmuje w ciechanowskim mieszkaniu jego syna poczesne miejsce. Ozdobiony nie tylko ramami, ale też czterema najważniejszymi odznaczeniami: Krzyżem Walecznych za Wojnę 1920 r., Medalem „Polska swemu obrońcy" oraz nadanymi pośmiertnie: Krzyżem za Wojnę 1939 r. (przez rząd emigracyjny w Londynie) i Medalem za Wojnę 1939 r. (przez Aleksandra Kwaśniewskiego). W saloniku blokowego M-3 zieloność bujnych kwiatów - to zasługa synowej komendanta, pani Aurelii; i artystycznie - od świątków, korzenioplastyki, gobelinów wykonanych przez syna Jana.

Pierworodny, dziś 76-letni, wciąż spoziera na ojca z wielkim uznaniem.

- Był gorącym patriotą - wzdycha. - Walczył w Legionach Piłsudskiego, rozbrajał Niemców; a potem z 32. pułkiem piechoty brał udział w wojnie 1920 roku. Nie oszczędzał się, był dwukrotnie ranny. Wychowywał nas w duchu umiłowania ojczyzny.

Starszy chorąży Aleksander Korzybski, nie zdążył dokończyć dzieła wychowania pięciorga swych ukochanych dzieci. We wrześniu 1939 roku miały one zaledwie od czterech do trzynastu lat. Jako ceniony komendant posterunku Policji Państwowej w Opinogórze,

mazowieckiej gminie oddalonej o dziesięć kilometrów od Ciechanowa, otrzymał sześciomiesięczne wynagrodzenie i polecenie ewakuowania rodziny. Już 3 września 1939 roku odesłał żonę z potomstwem i najbardziej niezbędnymi rzeczami do swego stryja leśnika w Gołotach, dwadzieścia kilometrów z drugiej strony miasta „na kilka koniecznych dni". Sam, zgodnie z rozkazem, musiał trwać na posterunku, dokąd to było możliwe.

Jego syn, Jan Korzybski, dziś siwy, drobny, średniego wzrostu, doskonale pamięta tę ostatnią chwilę:

- Kiedy ojciec nas żegnał, a siedzieliśmy już na furmance, pierwszy raz w życiu dostrzegłem w jego oczach łzy. Ja też płakałem. Jakbym przeczuwał, że więcej go już nie zobaczę. A on ostatnie słowa skierował do mnie, trzynastoletniego wówczas chłopca, powierzając mi, jako najstarszemu, obowiązki głowy rodziny. O tym świętym obowiązku pamiętałem potem przez całe życie. Ale wtedy nie mogłem sobie wyobrazić życia bez niego! Czułem się taki bezradny...

Za kilka dni trzynastolatek zobaczył po raz pierwszy Niemców. Budzili grozę i lęk. Zajechali do wsi pod lasem, gdzie przebywali, na motocyklach, w skórzanych płaszczach i hełmach. Pod karą śmierci zażądali od wszystkich mieszkańców wydania broni.

- Mieliśmy ze sobą dubeltówkę ojca - pamięta, że stała za beczką w piwnicy. - Oddalibyśmy ją, ale baliśmy się reakcji Niemców na jej ujawnienie. Całe szczęście, że mocno nie szukali!

Te trudne i niebezpieczne dni, ogromna tęsknota za ojcem i domem, wywoływały u trzynastoletniego chłopca nieznane mu wcześniej doznania żalu i strachu. Potęgował je pobliski grzmot dział, niemieckie naloty, wiadoma już klęska Września. Chował się za stodołę, w kopę siana, czy niedostępny kąt podwórka i łkał codziennie. Rozpacz rozdzierała mu piersi.

Po miesiącu Maria Korzybska postanowiła ze swą piątką dzieci wrócić do Opinogóry. Furmanką, z kuzynem Wodzyńskim. Posiadane jeszcze pieniądze musiała już wymienić na marki.

Hrabiowski majątek Krasińskich został przejęty przez Niemców. Jego nowy zarządca Fritz Skiel, był człowiekiem porywczym i nienawidzącym Polaków. Miejscowi nazywali go „zasmarkańcem", jako że na tlące się ciągle w jego zębach cygaro, kapało mu z nosa...

Ostatni prawowity ordynat opinogórskich dóbr, hrabia Edward Krasiński, został ograniczony do jednego małego pokoju w budynku administracyjnym. Nie miał rodziny, całe swoje życie i dochody z opinogórskiego majątku poświęcił na mecenat kultury, a szczególnie na gromadzenie zbiorów Biblioteki Krasińskich na Okólniku w Warszawie. Sam nigdy nie potrzebował zbyt wiele. Nawet neogotyckiego zameczku w Opinogórze, wiana ślubnego swego wielkiego krewnego, poety Zygmunta Krasińskiego, nie odbudował ze zniszczeń z 1915 r. Hrabia Edward nie zdążył już przeżyć szoku, kiedy dorobek jego całego życia spłonął: Niemcy podpalili bibliotekę na Okólniku we wrześniu 1944 r. A on sam trafił do obozów: najpierw w Działdowie, a potem w Dachau, gdzie zamordowano go w 1940 roku.

Opinogórskie mieszkanie Korzybskich mieściło się też w budynku należącym do dóbr Krasińskich. Murowany, z czerwonej cegły obiekt stał naprzeciwko drewnianego urzędu gminy, tam mieścił się również posterunek policji. Mieszkanie komendanta czekało puste, bez ojca.

- Dowiedzieliśmy się, że wyjechał do Warszawy dopiero wtedy, gdy linia frontu odgradzała go od wyznaczonego miejsca koncentracji - w głosie pierworodnego jest ból.

Wie też, że w Warszawie wstąpił jeszcze do stryjecznej siostry, Rutkowskiej, aby się umyć i posilić. Doradzała mu, aby pozostał, założył cywilne ubranie jej męża Jana i nigdzie nie wyjeżdżał. Przekonywała, że wszystko stracone... Propozycję odrzucił. Wiedziony patriotycznym obowiązkiem zgłosił się na zgrupowanie, skąd policjanci zostali ewakuowani, przed atakiem Niemców, na wschód. I jak wszyscy dostał się w ręce NKWD. W Szepietówce wyselekcjonowano policję, służbę graniczną, pracowników wymiaru sprawiedliwości, ziemian i księży jako ten „najbardziej

niebezpieczny element". Osadzono ich w celach poklasztornych na wyspie jeziora Seligier, nieopodal Ostaszkowa.

- Docierały do nas sygnały, że widziano go tam w obozie - syn Jan podkreśla, że rodzina nie otrzymała od niego ani jednego listu. - Wiedzieliśmy więc, że jeńcy mieszkali w potwornych warunkach, po ośmiu w dwuosobowych celach., byli niedożywieni, nękani ciągłymi przesłuchaniami; że zmuszano ich nawet do noszenia w połach płaszczy ziemi i gruzu na budowę grobli łączącej wyspę z lądem. Ale wierzyliśmy, że ojciec przetrwa to piekło i ciągle go wypatrywaliśmy.

Starszy sierżant Korzybski jednak nie wracał. A najstarszy syn wciąż wykruszał mu tytoń z uzbieranych niedopałków niemieckich papierosów, suszył, składał do pudełka.

- Do moich obowiązków zawsze należało robienie dla ojca papierosów w gilzach - usprawiedliwia się.

Na ostatniego komendanta czekali też Niemcy. Nawet sprowadzeni do Opinogóry niemieccy osadnicy dopytywali się o niego, odgrażając się, że jak się tylko pojawi, zostanie aresztowany i wywieziony; tym razem do obozu hitlerowskiego.

Bez Aleksandra Korzybskiego jego wracająca do Opinogóry rodzina znalazła się w beznadziejnej sytuacji. Matka, Maria z Okoniewskich, okazała się bez męża bardzo nieporadna. Zapasy żywności i pieniędzy szybko topniały. Pan Sokolnicki, właściciel miejscowego sklepiku, nie chciał już sprzedawać „na książkę". Aby zarobić na chleb, opinogórskie dzieci, pod okiem kierownika szkoły, ale pod kontrolą Niemców, musiały zbierać w matczyne fartuchy kamienie z folwarcznych pól. Za kilkanaście fenigów dziennie pomagały też w pracach polowych. Niemieccy okupanci zamknęli szkołę, wprowadzili kartki żywnościowe, godzinę policyjną i reżim. Ale najgorsze miało jeszcze nadejść...

Którejś listopadowej nocy 1940 r. załomotano do drzwi Korzybskich. Gestapowcy dali im dwadzieścia minut na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Najstarszy syn relacjonuje po latach, jakby to było wczoraj:

- Pozrywaliśmy się z łóżek. Mama płakała, wszystko leciało jej z rąk. Nie wiedziała, co było najbardziej potrzebne; co zabrać, a co zostawić. Była zupełnie nieprzygotowana, choć o wysiedlaniu krążyły wieści już wcześniej. Ale każdemu z pięciorga dzieci zawiązała węzełek z osobistą bielizną.

Popędzani przez Niemców, ze ściśniętym sercem, rzucając jeszcze po raz ostatni okiem na skromny dorobek życiowy rodziców, na swoje ciepłe gniazdko, musieli wyjść w zimną, nieprzyjazną noc. Chłopiec zadawał w myślach pytania: Co im zawiniliśmy? Dokąd nas powiozą? Co nas czeka? Jak sobie poradzimy? Do dziś czuje jeszcze ciepło opuszczonej nagle pościeli w swoim łóżku; widzi zostawioną na stole palącą się naftową lampę...

Padał wtedy deszcz, wszędzie lepkie, charakterystyczne opinogórskie błoto. We wsi rozlegały się podniesione głosy, szczekanie psów; błyskały latarki. Tej nocy, do dworskiej kamiennej stodoły w Opinogórze Niemcy spędzili wiele okolicznych rodzin. O świcie załadowali wszystkich na samochody i zawieźli do obozu w Działdowie. Oddalonego o około sto kilometrów, leżącego w dawnych Prusach Wschodnich.

Północne Mazowsze też zostało już wtedy włączone do Prus Wschodnich. Ciechanów ustanowiono stolicą guberni, z Erichem Kochem na czele. Z biura guberni w Ciechanowie (przemianowanego na Zichenau) przy ul. Sienkiewicza 33 wychodziły aż na dziewięć sąsiednich powiatów zbrodnicze dyspozycje wyniszczania narodu polskiego i żydowskiego. Mordy gestapo, masowe rozstrzeliwania, męki w kaźniach, łapanki upamiętnia dziś w Ciechanowie kilkanaście pomników i tablic.

Obóz w Działdowie mieścił się w koszarach pruskich. Był prowizorycznym oflagiem dla jeńców wojennych; w latach 1940-41 przeszło przez niego ok. 200 tysięcy ludzi, a ok. dziesięć tysięcy poniosło męczeńską śmierć.

- Przy bramie rozkazano nam złożyć kosztowności - opowiada, dziś już niemal bez emocji Jan Korzybski. - Dostaliśmy małe porcje

żywności i nocleg na barłogu w końskich stajniach wojskowych; rodzina przy rodzinie.

Po dwóch dniach pobytu w tym obozie, załadowano ich do bydlęcych wagonów; z okienkami obitymi kolczastym drutem. Wagony zaplombowano i skierowano w kieleckie, do Generalnej Guberni. Na stacji docelowej Końskie czekali ludzie z Polskiego Czerwonego Krzyża. Ze współczującymi twarzami porozdzielali wygnańców na grupy, porozwozili furmankami do „mieszkań" w poszczególnych gminach.

- Trafiliśmy do Radoszyc, dużej, ale biednej, otoczonej lasami gminnej wsi, dwadzieścia kilometrów od Kielc - mówi ówczesna głowa sześcioosobowej rodziny Korzybskich.

Wyznaczony w Radoszycach gospodarz zaoferował im izbę z drewnianych bali, z prześwitami na wylot. Bez pieca, łóżka, pościeli, nawet garnka. Przyniósł tylko czajnik z gorącą herbatą. Przytuleni do siebie, znękani, zasnęli na porzuconej w rogu izby garstce słomy. Następnego dnia dokoptowano drugą rodzinę, czteroosobową.

- Był w niej dorosły mężczyzna - opowiada ciechanowianin. - Pomogłem mu zbudować wzdłuż ściany pryczę z desek, nanosiliśmy słomy. I dziesięć osób, zawsze głodnych, zziębniętych, sypiało tak obok siebie.

Dostawali nędzne przydziały chleba, mąki, cukru i mydła. Cudem zdobyty piecyk służył im za grzejnik i kuchnię do przyrządzania posiłków. Pieniądze się skończyły. Najstarszy z Korzybskich musiał zaangażować się do pracy: nosił tzw. łaty podczas pomiarów pól.

- Codziennie przed świtem matka mnie wyprawiała. Cały dzień chodziłem po polach z łatą w ręku; często po kolana w śniegu, w zimowej zadymce, na mrozie. Wracałem już po ciemku. Mój zarobek wystarczał zaledwie na zakup nędznych przydziałów.

Odpoczywał tylko w niedziele. Wtedy ogarniała go straszliwa tęsknota: za ojcem, domem, kolegami, ukochaną Opinogórą. Siedząc na pryczy próbował swój żal przenosić na papier. Powstało kilka strof: o opinogórskim parku, zamku, cmentarzu, kochanej krainie jego młodości... Kilka zachował do dziś: Opinogóro szeroko znana,

/Piękna, urocza, zawsze kochana/ Mazowsze zdobi wieńcami wspomnień/ Nie gasnącymi, jasnymi, jak znicza płomień... - pisał.

W chłodzie i głodzie wytrzymali na tym wygnaniu dwa miesiące. Nad ich losem ulitował się przyrodni brat ojca, Michał Skóra z Ciechanowa. Wyjednał sobie przepustkę do Generalnej Guberni i przyjechał po nich. Wracali z nim pociągami, autobusami, piechotą; w śnieżycę, siarczysty mróz; i nie bez przygód. Z podróży tej chłopiec zapamiętał najbardziej nielegalne przejście przez granicę pomiędzy Generalną Gubernią a Prusami Wschodnimi. Granicę tę pokonali pieszo, podczas wiatru i śnieżycy. Wysiedli na ostatniej okupowanej przez Rosjan stacji kolejowej Chotomów za Legionowem i przeszli przez zamarzniętą Narew. Zatrzymali ich jednak Niemcy. Poddali rewizji, ale... puścili, choć Korzybska z pięciorgiem dzieci nie miała przepustek. Po drugiej stronie rzeki przenocował ich sołtys, a potem ze stacji Pomiechówek dotarli pociągiem do Ciechanowa.

- W Opinogórze okazało się, że nasze mieszkanie zostało zajęte przez niemieckiego osadnika, tłumacza Schlagę. A nie mogliśmy przecież ujawnić swego powrotu; znowu by nas wygnali, albo wywieźli do obozu koncentracyjnego. Nasza rodzina musiała więc pójść w rozsypkę, po całej okolicy.

Matka i każde z dzieci trafiło do innej rodziny, przyjaciół, znajomych. Sławek został u teściów wujka Michała w Czernicach, pomagał w gospodarstwie rolnym. Ciotka Okoniewska z Gruduska, której męża Niemcy zabrali do Dachau, wzięła Danusię. Włodkiem zaopiekowali się Bieńkowscy z Sarnowej Góry, a najmłodszy Wojtek do końca wojny pasał krowy u kuzynów Wodzyńskich w Nużewie.

Maria Korzybska zamieszkała kątem u znajomych w Ciechanowie. Zarabiała jako pomoc domowa u Niemców, wystarczało jej ledwie na skromne utrzymanie.

- Ja trafiłem najlepiej - uśmiecha się Jan Korzybski, pogodny i bezpośredni w kontaktach z ludźmi. - Wujek Michał zawiózł mnie do leśniczówki Kamionka, mieszkali tam jego znajomi, państwo

Dembińscy. Choć zupełnie obcy, przyjęli mnie bardzo życzliwie i z wielkim sercem. Traktowali jak syna.

Adam Dembiński był inżynierem leśnikiem. Pracował w biurze urządzania lasów w Ciechanowie, do domu przyjeżdżał co dwa tygodnie. Jego żona Laura, też wykształcona i kulturalna, prowadziła dom oraz położone przy leśniczówce trzyhektarowe gospodarstwo rolne. Hodowała kilka krów, trzodę chlewną, sporo drobiu, kasztankę. Mieli syna Jana, jedynaka, o dwa lata młodszego od przywiezionego im Jana Korzybskiego.

- Dla rozróżnienia nas jego nazywali Janulkiem, a mnie Jasiem - opowiada. - Na równi wykonywaliśmy wszystkie lżejsze prace w gospodarstwie. Latem, na leśnych zrębach i polanach, razem pasaliśmy krowy. Wspólnie też się uczyliśmy. Pod okiem rodziców Janulka oraz ich znajomych przerobiliśmy kawał programu szkoły średniej.

Kamionka leżała na pograniczu dwóch powiatów: ciechanowskiego i mławskiego. Otaczały ją piękne lasy. Janulek i Jaś urządzali w nich czasami kuligi. Zbudowali sobie dwie pary małych saneczek, na wystruganych z brzozy płozach. Zaprzęgali do nich kasztankę i hajda wąskimi ścieżkami przez las! Jazdę i kierowanie koniem utrudniały lecące spod końskich kopyt pecyny śniegu; musieli dorobić osłonę.

- Tak urządzony własnoręcznie pojazd sprawiał nam wiele radości! Zwłaszcza, że wokół widzieliśmy las przykryty śniegowym puchem, nieskazitelną biel, ciszę, prześwitujące pomiędzy drzewami słońce, strącany z dotkniętych gałęzi szron. Wracaliśmy zawsze z tych przejażdżek rumiani, rozradowani, aby z nowymi siłami pomagać przy inwentarzu i zagłębiać się w wyznaczonej lekturze - na jego twarzy jeszcze dziś maluje się zachwyt, kiedy wspomina te przejażdżki i tamte leśne zimy.

Ze względu na swe położenie, leśniczówka stała się rezerwatem polskości, ostoją patriotyzmu i ruchu oporu. Z dala od dróg, wizyt niemieckich żandarmów i leśników, była najpierw punktem kontaktowym Armii Krajowej, a potem jej placówką.

W leśniczówce zawsze przebywał ktoś obcy, czasem nawet przez kilka tygodni. Odbywały się tajne spotkania, rozmowy za zamkniętymi drzwiami, wpadali posilić się partyzanci. Jaś zapamiętał też ukrywające się w stodole żydowskie małżeństwo z czteroletnim synkiem Herszem, uciekinierów z pobliskiego getta w Strzegowie.

Chłopców długo nie wtajemniczano w działalność konspiracyjną. Zadaniem Janulka i Jasia była tylko obserwacja otoczenia leśniczówki i sygnalizowanie pojawienia się nieznajomych. Aż w listopadzie 1941 roku Tadeusz Sobolewski ps. Cis, komendant AK na powiat ciechanowski i Kazimierz Chrzanowski ps. Szyszka przeprowadzili z chłopcami męską rozmowę. Janulek i Jaś zostali włączeni do zadań pomocniczych, zobowiązując się do zachowania tajemnicy i dyscypliny organizacyjnej.

- Tak więc, nie bez dumy, ale zarazem i lęku, staliśmy się łącznikami ruchu oporu. Choć młodociani, to z pewną powagą, odpowiedzialnością i poświęceniem wykonywaliśmy powierzane nam zadania - tłumaczy ciechanowianin.

Niespełna piętnastoletni Jaś oraz trzynastoletni Janulek przenosili materiały konspiracyjne na teren powiatu mławskiego. Kiedy wyjeżdżali furmanką po zakupy do Ciechanowa, też przekazywali różne zapakowane przedmioty. Nie znali zawartości powierzonych im materiałów; raz tylko zajrzeli do dużej tekturowej rury; były tam zwitki map. Do ich obowiązków należało też przechowywanie odbiornika radiowego, który był potrzebny do wysłuchiwania wiadomości ze świata; kilku rowerów partyzantów, zimowej odzieży.

Aż kiedyś, dokładnie 25 lutego 1943 roku, na skutek zorganizowanej przez niemiecką żandarmerię prowokacji, zostali aresztowani. Gestapowcy ujęli wtedy wielu okolicznych mieszkańców, w tym całą rodziną Dembińskich, z Jasiem włącznie. Pamięta okrutne i poniżające traktowanie inżyniera Dembińskiego, niepewność o los, paraliżujący myślenie strach.

O zmroku wywieziono ich do więzienia w piwnicach remizy strażackiej w Strzegowie, osady nad Wkrą w powiecie mławskim. Janulek i Jaś, jako młodociani, trafili do jednej celi z kobietami;

przebywała też w niej pani Laura Dembińska. Na dwunastu kwadratowych metrach ściśnięto w tej celi dwanaście osób. Na betonowej posadzce stało tylko wiadro za załatwiania potrzeb fizjologicznych. Musieli leżeć pokotem, a była zima. Jan Korzybski nigdy nie zapomni obrazu klęczących na tym betonie kobiet, błagających Boga o ratunek.

- To nie była zwykła modlitwa, tylko szloch połączony w jeden szmer, w jeden szelest wspólnie i żarliwie odmawianego pacierza. Takiego zupełnego stopienia się z Bogiem, takiej ufności w sprawiedliwość i opiekę Opatrzności nigdy wcześniej, ani potem, nie widziałem.

Ale jak na ironię przez wiele dni więźniowie słyszeli tylko brzęk kluczy, zgrzyt w zamku i brutalne: Alle raus! Popychani, kopani, przywiązani za prawą rękę do jednego długiego sznura byli prowadzeni co wieczór - przez oprawców, z psami i karabinami - na przesłuchania do miejscowej szkoły. Tam, oczekując nieruchomo na swoją kolej, z twarzami przyklejonymi do muru, słyszeli przeraźliwe jęki i uderzenia. Jak w martwy przedmiot, jak cepami w snop zboża. Płaczu już nie było...

Wracali zawsze po północy. Nie wszyscy. Wielu grzebano od razu na miejscowym cmentarzu...

- Zniechęcenie tą beznadziejną sytuacją, lęk, apatia sprawiały, że człowiek stawał się bezwolnym, posłusznym przedmiotem. Bez wiary na uratowanie się - wzdycha Jan Korzybski. A na temat swego przesłuchania dodaje: - Pytano mnie; uderzając kolbą karabinu po bosych palcach nóg; czyje to były znalezione w leśniczówce rowery, radio, kożuchy... Moje odpowiedzi były szczere, ale nie obciążały nikogo.

Uratował go młodociany wiek. Po kilku dniach Janulka, Jasia i ich koleżankę Jadzię Milewską nagle wypuszczono, a właściwie zepchnięto ze schodów. Był mroźny, księżycowy wieczór.

- Wypadając z piętra na podwórko, upadłem na twarz i rozbiłem sobie kolano. A potem, w trójkę, rozpłakaliśmy się jak małe bezradne dzieci. Nie wiedzieliśmy co począć.

Polnymi drogami postanowili dojść do leśniczówki. Bywało, że jeździli tymi skrótami furmanką. Wiedzieli więc, że to ponad dwanaście kilometrów. Nocą i zimą droga była jednak inna, bardziej straszna. Przez zawiane pola, w ostrej poświacie księżyca, zatrzymując się i rozpoznając widziane wcześniej zagrody, doszli do celu nad ranem. Jadzia odłączyła wcześniej, poszła do rodziców na Działy.

Leśniczówka stała rozświetlona. Okazało się, że byli w niej chłopi z sąsiedniej wsi, Niemcy nakazali im jej pilnować. Zaopiekowali się chłopcami, nakarmili. Wnętrze leśniczówki wyglądało po rewizji rozpaczliwie. Porozbijane stoły i szafy, wszystkie przedmioty na środku pokoi. Ale sen na drewnianej, a nie na betonowej podłodze, chłopcy odczuli niemal jak luksus.

Nie przypuszczali, że była to ich ostatnia noc w Kamionce. Rano komisarz w Ościsłowie zamknął Jasia i Janulka w gminnym areszcie. A leśniczówkę wkrótce rozebrano do fundamentów i na jej miejscu posadzono las.

- Dziś tylko dół po studni, krzewy bzu i dziczejące drzewa owocowe świadczą, że jeszcze niedawno było tam życzliwe, pomocne innym siedlisko ludzi - nostalgia wiedzie tam czasem Jasia...

W gminnym areszcie w Ościsłowie opiekowali się chłopcami akowcy. Janulek przeżył załamanie nerwowe, po raz pierwszy w życiu znalazł się bez rodziców. Ciągle płakał, aż kolega bał się o niego. Całe szczęście, że ich los śledzili miejscowi. Dokarmiali chłopców potajemnie, a za kilka dni wyrwali z rąk niemieckich. Jaś i Janulek trafili do pracy do różnych ogrodników, w dwóch oddalonych od siebie o kilkadziesiąt kilometrów wsiach. Ich drogi rozeszły się. Do końca wojny już się nie spotkali.

Laura i Adam Dembińscy, rodzice Janulka, doczekali wyzwolenia. Ale przeszli gehennę na gestapo w Ciechanowie, potem obóz w Działdowie, wiezienia: w Warszawie, Krakowie i Mysłowicach oraz Oświęcim. Mimo bestialskich metod śledztwa nie wymuszono na nich przyznania się do udziału w ruchu oporu.

- Na lewym przedramieniu mojej przybranej mamy hitlerowcy wytatuowali w Oświęcimiu numer 47491, a jej męża 126886 - pamięta ich Jaś. - Po wyzwoleniu znaleźli się na Zachodzie; najpierw we Włoszech, potem zamieszkali w Londynie. Inżynier Dembiński umarł niedługo na gruźlicę, jego żona została krawcową.

U ogrodnika Leona Bobińskiego w Nużewku piętnastoletni Jan Korzybski pracował z ochotą, szczęśliwy, że jest na wolności. Rano wstawał bardzo wcześnie i wykonywał wszystko co potrzeba w rozległym gospodarstwie: w sadzie, szkółkach drzew owocowych, ogrodzie warzywnym. Sadził, pielił, szczepił młode drzewka, wywoził obornik. Za jedzenie i spanie. Tylko jesienią, kiedy ogrodnik otrzymywał zapłatę za sprzedane drzewka, płacił swym robotnikom skromne kieszonkowe.

- Dziwny trochę był ten pan Bobiński - wspomina swego chlebodawcę. - Choć życzliwy, dobry, o rozległej wiedzy ogrodniczej zdobytej w Kanadzie i na Krymie, często stawał się przedmiotem drwin i krytyki, nawet ze strony rodziny. Był to człowiek nietypowy, baptysta, badacz Pisma Świętego.

Bobiński potrafił krzyżować jabłonie, w okolicy nazywano go polskim Miczurinem. Wyhodował wiele cennych mrozoodpornych odmian. Część przywiózł z Kanady, a potem na ich bazie otrzymywał nowe, własne, dostosowane do polskich warunków klimatycznych. Po kilku latach cała wieś przejęła od niego ogrodnicze zainteresowania: każdy w Nużewku założył sad.

- Bobiński nie lubił palić papierosów; mawiał: „ci co palą zadają się z diabłem". Nic nie wiedział, że jego pracownicy kręcili bimber nocami, po kryjomu. Raz mnie nawet upili; na moje siedemnaste imieniny, 24 czerwca - Jan Korzybski przebywał w jego gospodarstwie do jesieni 1943 roku.

Któregoś dnia, wraz z kilkoma innymi ze wsi, został przez sołtysa Nużewka wytypowany na przymusowe roboty. Kopał rowy strzeleckie pod Ostrołęką, aż do załamania się wschodniego frontu. Los chciał, że spotkał tam, choć tylko na pewien czas, swego młodszego brata Sławka. Razem łatwiej było im znosić niewolniczą

pracę, sieroctwo, niedożywienie, sypianie na słomie w stodołach i na strychach.

Wrócił z okopów do Nużewka, piechotą. Szedł kilka dni. W gospodarstwie przyjęto go z ukontentowaniem, pracował jak dawniej. Dziś przyznaje, że u Bobińskiego polubił ogrodnictwo, poznał wiele jego tajemnic.

- Zapraszam panią na melony, arbuzy, paprykę, rodzynki; mam też wspaniałe kwiaty, szczególnie byliny - weseleje na wspomnienie swojej ciechanowskiej działki. Wyżywa się na niej codziennie, jak tylko nastaną ciepłe dni. - Dla starszego pana kontakt z przyrodą, ruch na świeżym powietrzu jest bardzo wskazany. Nie mógłbym położyć się w domu i patrzeć w sufit - dorzuca żywo.

U Bobińskiego nie doczekał jednak wyzwolenia. Zabrano go jeszcze raz do kopania rowów w Prusach Wschodnich, na Pojezierze Mazurskie. Było tam trudniej jak pod Ostrołęką: dłuższe obowiązkowe odcinki do wykopania, głodowe jedzenie, spanie w barłogach, wymierzane bez powodu kije.

- Mycie i pranie w jeziorach, bez mydła, sprawiły, że od wszawicy każdy z nas miał na plecach jeden wielki, rozlany strup - opowiada. - Odkażanie co jakiś czas naszej odzieży w przywożonym przez Niemców wielkim kotle dawało nam spokój od insektów ledwie na kilka dni.

Nie pomni już niemieckich nazw miejscowości, gdzie kopali rowy. Ciągle ich przewożono. Czasem wyrąbywali też z lasów ogromne sosny, a potem mokre kłody dźwigali na budowę niemieckich bunkrów. Tragedii nie brakowało. Kiedyś wszyscy z okopów musieli być świadkami wykonania przez gestapowców wyroku śmierci na dwóch nieszczęśnikach, którzy odeszli od kopania rowów na pole, aby wydłubać z ziemi trochę kartofli. Zostali potraktowani jak uciekinierzy.

- Oprawcy zastrzelili ich demonstracyjnie na naszych oczach. Nam kazali ich rozebrać, wykopać dół, zakopać nagie ciała. Nawet te nędzne, brudne łachmany były potrzebne dla ratowania Trzeciej Rzeszy - kręci ze smutkiem głową.

Pamięta i jedną miłą chwilę. Któregoś dnia odwiedziła go matka. Przywiozła czystą bieliznę, trochę pożywienia. Pocieszyli się sobą, pogłębili smutek i tęsknotę za najbliższymi, bolejąc nad ich losem rozdartym. Jadąc do syna Maria Korzybska przeżyła w Olsztynie nalot bombowy. To radzieckie samoloty, wspomagane przez aliantów atakowały już niemieckie tereny. Dotknęły one niejednokrotnie również przymusowych robotników w okopach i w lesie.

Była już zima 1944 r. Grupa przymusowych robotników, Jan Korzybski miał już wówczas osiemnaście lat, została przewieziona na jeziora augustowskie. Wyrąbywali z nich bloki lodu, ustawiali dwumetrowe lodowe piramidy, dla zespojenia polewając je wodą. Szachownica z tych piramid na wielkich jeziorach miała utrudnić lądowanie radzieckiego desantu. Front jednak naciskał, już żadne zabiegi nie pomagały. Od początku 1945 roku Niemcy zaczęli się wycofywać.

- Pokonywaliśmy przez dwa tygodnie piechotą dziesiątki kilometrów, i w dzień, i w nocy. Bez żadnego zaopatrzenia. Głodowaliśmy, żebraliśmy i kradliśmy żywność, sypiając po drodze w budynkach gospodarczych. Po drodze spotykaliśmy już uciekających z dobytkiem przerażonych mieszkańców Prus. Ich widok przypominał nasz wrzesień 1939 r., tylko kierunek exodusu był inny.

Ocierając się o wybrzeże Bałtyku doszli aż do Słupska. Tam codziennie o świcie, pośród śnieżyc i mrozów, gnano ich jeszcze do kopania rowów przeciwpancernych. Kilofami i szpadlami, zziębnięci i głodni, łupali zmarzniętą ziemię aż do zmroku.

W połowie lutego chciano ich ewakuować dalej, statkiem przez Łebę, na zachód. Jan Korzybski z dwoma kolegami, czując bezsens tej podróży i koniec udręki, odłączyli się pod Łebą od grupy. Pierwszy czołg radziecki, zwiastujący wyzwolenie, zobaczyli z kopy siana u jednego z pomorskich bauerów. Niemieckimi rowerami, których sporo leżało po rowach; wśród trupów, podążających na zachód wojsk wyzwoleńczych, huku ich pepesz, dotarli do Słupska.

Tutaj wszystkich wracających z przymusowych robót armia radziecka kierowała do gromadzenia i odprowadzania inwentarza.

Ciechanowianin trafił do majątku Potęgowo. Był tam dwór, młyn i gorzelnia, którą Rosjanie uruchomili niemal od razu. - Praca nasza polegała na spędzaniu bydła i koni do obór dworskich. Musieliśmy też żywić ten inwentarz, zanim go od nas nie odebrano i nie popędzono na wschód - pamięta, że mieszkał we dworze, na pierwszym piętrze prawego skrzydła pałacu.

Kiedyś pojechali po słomę do jednej z zagród niemieckich. Właścicielka uporczywie broniła wejścia do stodoły. Pomimo to wjechali wozem do środka. Za którymś kolejnym snopem nakładanym na wóz zobaczyli niemieckiego żołnierza. Potem drugiego, trzeciego... Na widok skierowanych ku nim widłom grzecznie podnieśli do góry ręce. Polacy przekazali ich żołnierzom radzieckim.

Pracę tę wykonywał aż do połowy czerwca 1945 roku, do czasu, kiedy w okolicy nie było już żadnego inwentarza. Wtedy towarowymi pociągami, przeważnie razem z szynami kolejowymi, które też wywożono na wschód, dotarł do Ciechanowa. Jechał dziesięć dni.

Matka, przebywająca u ciotki w Grudusku, powitała go łzami radości. Nie spodziewała się już powrotu pierworodnego. Jan, pomny ojcowskiego rozkazu, przypominał zleconą mu we wrześniu 1939 roku funkcję głowy domu.

- Zacząłem zbierać rozproszone rodzeństwo i organizować dom. Trzeba było wszystko zaczynać od zera - wzdycha.

Cała rodzina znowu wróciła do Opinogóry. Ich mieszkanie było zajęte, przez nowych, tym razem polskich lokatorów. Cztery lata wegetowali więc w jednym, wynajętym pomieszczeniu. Jan dostał pracę w opinogórskim urzędzie gminy i ze skromnej pensji referenta podatkowego utrzymywał przez pewien czas sześć osób. Nędzne grosze nie wystarczały, rodzeństwo musiało się rozproszyć. Dwóch braci wyjechało do pracy: jeden do łopaty, a najmłodszy do kopalni.

Na utrzymaniu najstarszego Jana pozostała jeszcze matka i dwoje rodzeństwa.

Po pracy w gminie Jan, referent podatkowy, dojeżdżał codziennie rowerem do wieczorowego liceum w Ciechanowie. Jakoś zdał maturę. Dopiero po kilkunastu latach ukończył zaocznie Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego.

Dotknęła go negatywna atmosfera tworzona wokół tych, którzy stracili bliskich w Katyniu. Nikomu nie musiał mówić, że ojciec zginął z rąk Sowietów, wszyscy o tym wiedzieli, żył przecież w tym samym środowisku. Było to jednak publiczną tajemnicą. Decydujący o wszystkim aparat partyjny i miejscowe władze były Korzybskiemu bardzo nieprzychylne.

- Przy każdej okazji wytykano mi, że jestem synem granatowego policjanta, wrogiem ludu. Nie mogłem awansować, zwłaszcza, że nie chciałem wstąpić do PZPR. Nie mógłbym być w partii, która taiła Katyń i była służalcza wobec Związku Radzieckiego, gdzie zamordowano mi ojca.

Został skazany na byt skromnego urzędnika. Po przeprowadzeniu się do Ciechanowa przepracował czterdzieści lat w ciechanowskiej administracji: najdłużej, bo lat trzydzieści, jako kierownik wydziału finansowego w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Ale i wtedy do sekretarza powiatowego PZPR docierały anonimy. Jeden z nich, że „Jan Korzybski jest synem przedwojennego policjanta, który donosił na komunistów", udało mu się do dziś zachować na pamiątkę.

- Potem jakoś wybrnąłem z tego marazmu, stosunki trochę zelżały. Ale w porównaniu z innymi zawsze było mi trudniej osiągnąć lepszą pozycję zawodową - skarży się.

Z żoną Aurelią, nauczycielką, pragnęli, aby chociaż ich dzieci miały lepsze dzieciństwo, pokończyły bez problemów wyższe uczelnie. Udało im się. Syn Adam został inżynierem mechanikiem, mieszka w Piastowie pod Warszawą. Córka Ewa pracuje w Warszawie jako specjalistka od reklamy. Obydwojgu dobrze się powodzi, często z trojgiem wnuków odwiedzają rodziców w rodzinnym Ciechanowie.

- A wie pani kto został mężem Ewy? Jacek, syn Janulka! Poznali się podczas naszych spotkań, pokochali. Mamy z przyjacielem wspólne wnuki.

Janulek Dembiński ukończył Politechnikę Warszawską, został inżynierem budownictwa. Mieszka w stolicy.

Jan Korzybski cały czas poszukiwał ojca. Przez różne ambasady, Czerwony Krzyż; plik negatywnych odpowiedzi tworzy osobną teczkę. Zapamiętał kiedyś gest jednego z urzędników PCK w Warszawie.

- Na wspomnienie, że ojciec był jeńcem Ostaszkowa machnął tylko ręką. Ten gest mówił wszystko. Choć on sam nie powiedział ani słowa - mówi.

Kiedy w 1990 roku dowiedział się gdzie zgładzono ojca, bardzo chciał zobaczyć ostatnią jego drogę. Marzenia swe zrealizował pięć lat później, podczas oficjalnej uroczystości wmurowania kamienia pod cmentarz wojenny w Miednoje. Był też w ostaszkowskim klasztorze, dziś zrujnowanym, ale przy bramie wejściowej zobaczył pamiątkową tablicę.

- Było to ogromnie smutne przeżycie. Szczególnie w Twerze, w celi śmierci; rozstrzeliwano tam jeńców znienacka w tył głopwy, gdy pochylali się wchodząc do tej piwnicy... Natomiast Ostaszków, jezioro Seligier i wyspa Stołbnyj wyglądały w czerwcu cudownie. Aż przykro było zestawiać tę tragedię z pięknem tego miejsca...

Dziś wie, że ojca wywieziono z wyspy 22 kwietnia 1940 roku. Figuruje pod numerem 5664. Nie ma swego grobu, leży jak wszyscy w zbiorowej mogile. Klęcząc przy jednej z nich zapalił przywieziony z Ciechanowa znicz, wbił w przesiąkniętą krwią ziemię biało-czerwony proporczyk.

Ciechanów utrwalił pamięć starszego sierżanta Aleksandra Korzybskiego: jego nazwisko wyryto trwale na granitowej tablicy w Liceum Ogólnokształcącym im. Z. Krasińskiego, wśród kilkudziesięciu innych. W 1990 roku, z inicjatywy syna, w kościele św. Tekli w Ciechanowie została odsłonięta tablica katyńska z białego marmuru. Jest na niej 29 nazwisk ciechanowian, którzy

zginęli w trzech sowieckich obozach. Stoją też trzy symboliczne urny z ziemią z cmentarzy: w Katyniu, Charkowie i Miednoje.

Pierworodny syn opingorskiego komendanta odnalazł się w pracy społecznej. Był jednym z głównych założycieli Towarzystwa Miłośników Ziemi Ciechanowskiej - zarejestrowane w 1957 roku należy dziś do najstarszych stowarzyszeń regionalnych na Mazowszu. TMZC jest dla miasta i regionu bardzo zasłużone. Upamiętniło tablicami i obeliskami najważniejsze miejsca pamięci w Ciechanowie, z jego inicjatywy powstały dwa najważniejsze na ziemi ciechanowskiej muzea: Muzeum Romantyzmu w Opinogórze (poświęcone Zygmuntowi Krasińskiemu); mieści się w odrestaurowanym zameczku poety, a on sam spoczywa w miejscowych katakumbach. I drugie: Muzeum Pozytywizmu w Gołotczyźnie, gdzie żył, tworzył i spoczywa słynny pozytywista i pisarz Aleksander Świętochowski.

Towarzystwo zainicjowało też odbudowę Zamku Książąt Mazowieckich. I choć ta potężna średniowieczna budowla nie została całkowicie odrestaurowana, ale zabezpieczona i częściowo udostępniona zwiedzającym, przybliża świetność ponad 900-letniego Ciechanowa. Jan Korzybski opracował nawet makietę plastyczną zamku, był zresztą przez kilka lat jego kierownikiem.

- To najważniejszy zabytek tej ziemi - podkreśla żywo, z błyskiem w oku. Zamek ciechanowski zdobi ściany jego mieszkania; na jednej wisi grafika Napoleona Ordy, a obok własnoręcznie wykonany gobelin. Zabytek ten zna na pamięć, od trzydziestu lat oprowadza po nim wycieczki.

- Ale dziś potrzeba pieniędzy, bo Zamek się sypie - martwi się Jan Korzybski. I wciąż udziela się w zarządzie TMZC.

Był też działaczem PTTK, Światowego Związku AK, napisał wiele publikacji regionalnych. Przez lata parał się też fotografią, zdobywał nagrody w konkursach, miał autorskie wystawy. Do dziś ma bogate zbiory czarno-białych zdjęć, niektóre zupełnie wyjątkowe, bo utrwalił miejsca i obiekty, które już dziś nie istnieją. Lubił też wędkować, był nawet szefem koła wędkarskiego. Angażował się

także w inne inicjatywy społeczne i kulturalne, m.in. w budowę pomników w Ciechanowie i Opinogórze: Zygmunta Krasińskiego, Walki, Męczeństwa i Zwycięstwa; Marii Konopnickiej, Świętego Piotra - patrona miasta...

- Był wszędzie, gdzie się coś działo. Najczęściej jako skarbnik albo sekretarz. Zawsze porządny i pracowity - mówi się o nim w mieście.

Ciechanowianie docenili wysiłki Jana Korzybskiego na rzecz regionu. Uhonorowali go najważniejszymi odznaczeniami, w 1992 roku został nawet Ciechanowianinem Roku. Jednak syn przedwojennego komendanta opinogórskiego posterunku pozostał człowiekiem bardzo skromnym.

- Najpiękniejszy okres swego życia przeżyłem w Opinogórze, przy boku ojca - wzdycha, z łezką w oku. - I choć czas mija, nigdy nie zapomnę jego serdeczności, troski o nas, miłości do Polski. Muszę jeszcze, chociaż raz, pojechać na cmentarz w Miednoje.

Ciechanów, styczeń, 2002 r.

(Fragment przygotowywanej do druku książki „Dzieci Katynia nie kłamią")

Ostatniemu ordynatowi

Panie hrabio

Upamiętnili dziś
ciebie tablicą czerwoną
bo oddałeś życie
za robotnika

Czy przypuszczałeś
że oprawcy zburzą potem twoje gmachy
wielkie przybytki kultury
cenne nie tylko dla ciebie

I trzeba będzie odkurzać
twą postać z zapomnienia
wskrzeszać pamięć zacność
mecenasa Wielkiego Dwudziestolecia

Panie hrabio

Potomkowie twoi
z nowym ordynatem
rozproszeni po świecie
przybyli

Czerwona tablica
zakwitła różami
Oby te kwiaty
już nie więdły...

Opinogóra, 9.12. 2000
(na 60-lecie śmierci hrabiego Edwarda Krasińskiego)

• **Teresa Kaczorowska** - dziennikarka, reporterka, poetka. Autorka czterech książek, prezes ciechanowskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

Opin i Wojewodzianka

- Opinie – rzekł władczo własta Sasinów do syna – wyruszysz dzisiaj z oddziałem i sprawdzisz wszystkie graniczne stanice. Proszę cię, bądź czujny, zasięgaj języka, czy Mazowszanie nie planują wyprawy na nasze ziemie.

Skinął głową Opin i wskoczył na konia. Ruszyli gęsiego znaną im tylko ścieżką leśną.

- Czyżby ojciec wraz ze starszyzną rodową planował wyprawę na południe? – rozmyślał syn. Niedawne to były czasy, kiedy zapuszczali się po Ciechanów czy Płock, skąd przywozili bogate łupy i branki dla swawoli wojowników. Ale od kilkudziesięciu lat zbrojny przeciwnik zapuszcza się na ich ziemie, wycina ludność, niszczy święte gaje, święte lipy i dęby. Burzy świątynie z boskim Perkunem, Krucho, Patollą czy Natrimpem.

- Nie. Ich Chrysta nie przejmiemy. Swoich bogów nie zdradzimy. O nie! Nie odstąpię cię gromowładny Perkunie i ciebie Krucho, który jesteś tak łaskawy dla ludu i zsyłasz mu obfite plony, napełniasz spiżarnię dziczyzną, opiekujesz się każdą rodziną. Twej też polecam się opiece, aby nasza wyprawa się udała. Wiem, że potrafisz obronić każdego człowieka.

Nim Opin otrząsnął się z rozpamiętywania, spostrzegł, że koń na którym jechał, powędrował inną ścieżką. Cały oddział podążył za nim.

- To nic – pomyślał – trzeba sprawdzić, gdzie ta droga prowadzi. Może nieprzyjaciel tędy chadza? Niebawem Opin spostrzegł w oddali pagórek. Wspiął konia i za chwilę znalazł się na jego wierzchołku. Wzniesienie pokryte było próchniejącymi pniami ściętych drzew. Żadnego śladu stopy ludzkiej czy choćby kopyta końskiego. Zadawali sobie pytanie, czy to był święty gaj Prusów, czy

Polaków? A może to miejsce miało służyć jako punkt obserwacyjny, tylko komu?

- Tak – powiedział Opin. – Ta nowa chrześcijańska religia wdziera się gdzie może. Synowie niszczą miejsca kultu swoich ojców, niszczą ołtarze innych plemion. Ale my Sasinowie, nie zaprzemy się swoich bóstw.

-Tak, nie zaprzemy – powtórzyli pozostali.

Zaszumiał opodal stojący w dolinie buk, jakby chciał przytaknąć przybyszom. Potwierdza to z oddali swoim szumem stojąca nad jeziorem leciwa matka – sosna, która błagalnie unosiła swe konary ku niebu.

Opin skierował swego konia nad wodę. Brzegi jeziora porośnięte były szarymi olchami, pękatymi wierzbami, srebrzystymi brzozami i różnymi krzewami. W dali wiły się strumienie – wypływające z jeziora. Wokół rozciągały się podmokłe tereny, porosłe trawami i wonniejącymi roślinami. Harcowały leśne pszczoły, ważki, motyle i śmigłe jaskółki. Na zastygłej tafli jeziora tkwiło nieruchomo wodne ptactwo.

-Jak tu cudownie – wyszeptał Opin – zjeździłem całą naszą krainę wzdłuż i wszerz, ale takiego uroczyska nie widziałem. Przyjaciele – zwrócił się do pobratymców – zatrzymamy się tu trochę. Niech moje oko nacieszy się tą okolicą. Tu ziemia jest niczyja i zapewne bezpieczna. Ubijcie jakiegoś zwierza, posilimy się.

- Masz rację panie – powtórzyli druhowie. Mało to w ostatnich miesiącach się nawojowaliśmy. Zbyt często wyruszać musieliśmy w bój. Mazowszanom tęgie lanie sprawiliśmy i chyba na długi czas będziemy mieli spokój, nim panowie podniosą głowy.

- Ale mimo wszystko – odezwał się Rappat, syn najwaleczniejszego z Sasinów – Ropyl i Rumok winni sprawdzić, czy nie ma tu gdzieś zamaskowanych przejść lub rozstawionych nieprzyjacielskich czat.

Jednak wszędzie była cisza i spokój. Rozpalono ognisko. Konie przywiązano do drzew. Połcie mięsa z upolowanego tura skwierczały

w ogniu. Słońce powoli czerwieniało. Schodziło spoza odległego lasu w trzciny i rozmywało się w wodach jeziora.

Opin wstał i zaczął śpiewać. A głos miał potężny, basowy, który przenikał do serca i radował duszę. Nic dziwnego, że wszystkie włości Sasińskie pragnęły go ogłosić pierwszym śpiewakiem bogów. Nie chciał przyjąć tak ważnego wyróżnienia, bo był z natury skromny, a życie nauczyło go ciągłego czuwania i walki w polu. Niejeden poległ od jego miecza. Na wroga rzucał się pierwszy i zwyciężał. Nawet z zasadzek wychodził obronną ręką nie draśnięty ostrzem broni czy strzałą łuku. Ale mimo to naturę miał spokojną, wrażliwą na piękno, wyrzeźbioną na kształt szumu borów, polan leśnych, jezior pełnych ryb i wodnego ptactwa, które wiosną uczyło go śpiewu.

Sasinowie zaczęli ucztować. Szarzało, księżyc wyłaniał się z sitowia, różowy, złocisty i zdawało się, że można wziąć go w dłonie.

- Czas wracać – odezwał się czujny Rappat.

- Zdążymy – odezwały się głosy. –Szmat drogi przejechaliśmy, pustkowie, nawet łuny ogniska nie widać wokół – uspokajali go ziomkowie.

Nagle, niespodziewanie, nie wiadomo skąd posypały się strzały z łuków. Wywiązała się nierówna walka. Ten i ów padał ranny, ten już konał, reszta uchodziła w las. Opin i jego trzej towarzysze walczyli mężnie. Nie ustępowali z placu boju. Daremnie. Na głowy ich spadły pęta arkanów. Leżeli skrępowani. Opin ledwo mógł oddychać. Bolały go ręce od ucisku postronka. Knebel tkwił w ustach i ranił język. Za odzienie wchodziły wszędobylskie mrówki. Komary całą chmarą cięły każdy dostępny kawałek skóry. Gdyby choć poległ w walce. A tak mogą się znęcać, zadawać cierpienie. Prosił więc w duchu bogów o pomoc. O, gdyby teraz z głębi lasu mogła nadejść odsiecz. Ale las był głuchy, obojętny, ponury. – Potworny las, przeklęte miejsce, które nas tu zwabiło – pomyślał i omdlał.

Kiedy się ocknął, usłyszał rozmowę, której nauczył się w dzieciństwie od niewolników mazurskich. Zrozumiał, że będą się domagać okupu albo rzucą ich pod nogi Księciu. A może potrzymają w lochu, a kiedy będą wycieńczeni, wyprowadzą na dziedziniec i ku

uciesze gawiedzi stracą. Ileż to razy widział podobne egzekucje we włościach Sasinów. Niektórzy skamlali o życie. Nic to nie pomogło. Bywali tylko opluci przez ciurów, a głowy ich spadały w pierwszej kolejności. Iluż to wziętych do niewoli zostało przywiązanych do drzew powrozami i tak musieli konać w męczarniach.

Wszystko to stanęło mu przed oczami, odbierało chęć życia, mąciło myśli, ściskało serce. Rzucił się z przerażenia, ale powrozy nie puściły, zamiast okrzyku harczało mu w gardle – knebel tkwił mocno. Leżał jak kłoda bezradny.

- O gdybym przed laty wykazał odrobinę litości nad tamtymi nieszczęśnikami, może teraz zlitowałby się los nade mną – rozważał.

- Hej, ty hultaju, coś ty za jeden – zagadał go Mazur, wyrywając mu knebel z ust. Opin nie mógł mówić. Wybełkotał ledwie kilka słów.

- Gadaj ino szybko, bo ci łeb rozwalę.

- Jestem z Sasinów, Opin mnie zwą – wyszeptał z trudem – Kraj mój tam, gdzie wielkie jeziora biorą swój początek.

- Znamy takiego okrutnego władykę, który wypuścił morze naszej krwi, czyżbyś był jego synem?

Skinął jedynie głową.

- Zawleczemy cię, psubracie, do naszego pana na zamek, do grodu ciechanowskiego, boś zasłużył na karę i poniżenie. Odcierpisz za swoje plemię, które nam od lat plądruje osiedla i grody, wycina w pień ludzi, rabuje mienie ludzkie.

Mazurzy posilili się zdobycznym, świeżo upieczonym mięsem tura, obluźnili nieco więzy niewolnikom i pognali ich przy świetle księżyca w las. Nad ranem dotarli do nadgranicznej stanicy. Trudno było w tym czasie mówić o jakiejś granicy. Nikt jej nie wytyczał. Bezludne tereny zajmowało się i basta. Cały wielokilometrowy pas ziemi, rozdzielający plemiona, był pusty. Tu właśnie stoczono wiele potyczek, tu dokonywano zasadzek.

Oddział dotarł do Mławy. Niewolników przytroczono do końskich siodeł, a ręce związano do tyłu. Teraz szybciej i sprawniej ruszono do grodu ciechanowskiego. Droga doń wiodła kręta, przez wyżyny, doliny torfiaste, łąki bagienne. Gdzieniegdzie tylko widać było

zagony uprawne, pojedyncze chałupy lub kilka domów obwiedzionych potężnymi ostrokołami, chroniącymi przed drapieżnymi zwierzętami, bądź przed rabusiami.

Opin obserwował teren, ustalał strony świata. Może uda się kogoś przekupić i uciec, przecież tylko na własne siły trzeba liczyć – myślał. Najbardziej żal mu było Rappata, który otrzymał cios w skroń. Rana mu krwawiła i krew zalewała oko. Pozostali dwaj Sasinowie trudy znosili cierpliwie.

Nareszcie wyjechali na gościniec. Po jednej i po drugiej stronie rozpościerały się pola uprawne, na których krzątali się chłopi. Konie biegły kłusem, wzbijając obłoki kurzu. Las oddalał się, słońce chyliło się ku zachodowi, sięgając koron drzew. I znów podmokłe ziemie, rozlewiska rzeki. Oddział sforsował płyciznę i stanął przed bramą grodu. Wrota rozwarły się, most zwodzony opuszczono. Opin przyglądał się z ciekawością. Cały gród otoczony był ostrokołami w potrójnych rzędach. Umocnienia ziemne potężne, trudne do zdobycia. Na środku drewniany zamek, opodal zbudowana z potężnych bali świątynia chrześcijańska dla dworu, wojów i starszyzny.

Wiadomość o ujęciu syna własty Sasinów rozeszła się po Ciechanowie lotem błyskawicy. Każdy chciał zobaczyć pojmanego, ale grodczy przejął niewolników, kazał ich rozwiązać, zamknąć w baszcie i dać jeść. Po trzech dniach zaprowadzono ich przed oblicze wojewody, który rozpytywał: - dlaczego napadają na Mazowszan ? Dlaczego jako sąsiedzi nie chcą żyć w przyjaźni, po bożemu, jak chrześcijanie ?

Ostatnie pytanie wstrząsnęło Opinem, Mógłby pójść na ustępstwa, ale wiary ojców za nic nie porzuci. Odpowiedział rozsądnie i rzeczowo, nie wdawał się w dyskusję.

W czasie przesłuchania weszła do komnaty córka wojewody Bogna, uśmiechnięta, o ujmującej aparycji, z czarownym uśmiechem. Pradziadowie powiadali, że Bogna to imię dane od Boga, mające przynosić szczęście.

Dziewczyna nosiła imię na miarę tradycji i wielkości rodu. Bogną mogła być tylko dziewczyna wysoko urodzona. Ani z dworek, ani z plebsu nikt nie mógł dostąpić zaszczytu podobnego.

- Córko – odezwał się wojewoda – nie godzi się tobie wchodzić do izby, gdzie przesłuchuje się pojmanych. Bogna przerwała Ojcu.

- Przecież chcę uczestniczyć we wszystkich twych wyrokach, bo chcę się przysposobić do sztuki rządzenia, a ty ojcze, nie chcesz mnie zrozumieć. Nieraz już mnie wypędzałeś z miejsca, w którym odbywały się publiczne sprawy, wiedz o tym, że nie masz syna. Chcę ci go zastąpić. A potrafię więcej niźli mężczyzna.

Wojewoda zamilkł. Przerwał przesłuchanie i kazał pojmanych odprowadzić do baszty.

- Tato – rzekła teraz córka – przecież ci Prusowie wyglądają dostojnie. A powiadali o nich, że to dzicy, podobni do straszydeł, zwłaszcza ten blondyn zachowywał się godnie, jak rycerz.

- Dosyć – wrzasnął ojciec – wiem co robię. Oni zasługują na pogardę, a twoje niewieście serce chciałoby usprawiedliwić ich zbrojne napady, ich pogaństwo. Wszak nie chcą przyjąć do serca jedynego Boga, jedynej wiary, jedynego Chrystusa? Jeżeli nie przyjmą chrztu, Bóg musi wymazać ich z żywota wiecznego.

Tymczasem sztaby z łoskotem zawierały się za pojmanymi, aż echo obijało się o zabudowania grodu. Małe okienko więzienne wpuszczało niewiele powietrza i światła. Było przez nie widać gasnące promienie słońca. Spod krzewów wyłaniał się bezkształtny mrok.

Nawykli do swobody Sasinowie nie mogli pogodzić się ze swym losem. A teraz cztery butwiejące ściany, stęchlizna, półmrok. W pierwszej chwili Opin wraz ze swoimi wojownikami chwycili za rygle i chcieli je wyważyć, daremnie. Nie puściły. Rappat, Ropyl i Rumok opuścili smętnie ręce. Opin oparł się o ścianę i zaczął nucić pieśń z rozpaczy. Przez małe okienko więzienne melodia rozchodziła się po grodzie. Wojewodzianka z dworkami słuchały urzeczone śpiewem płynącym z oddali. Kto tak śpiewa cudownie? Kto może mieć tak wspaniały głos? Kto chce nam umilić ten monotonny czas,

płynący całymi tygodniami w obrębie grodu, gdzie panuje pustka i nuda?

Taki śpiew nie rozlegał się w grodzie od wielu lat. Bogna wraz z dworkami postanowiły sprawdzić, kto jest śpiewakiem. Doszły pod okienko więzienia.

- To ty rycerzu tak pięknie śpiewasz? – odezwała się jedna ze służek.

- Nie. – Jesteśmy waszymi jeńcami, których jutro lub pojutrze będziecie widzieć na szubienicy.

- Na to nie pozwolimy – odezwały się dziewczęta – śpiewajcie, a my dla was wyjednamy wolność.

- Wolności nam nie możecie zapewnić. Chcą, byśmy przyjęli waszą wiarę, a my jesteśmy wierni swoim bogom, którzy dla nas są tacy łaskawi, żyją wśród nas na co dzień. Pomagają nam w walce, zbiorach, łowach i połowach. Oni nam zapewniają byt i chronią przed wojną i morowym powietrzem.

- Bogów macie wielu – odezwała się Bogna. – Przyszłyśmy was posłuchać, a nie rozmawiać o wierzeniach. Śpiewaj choćby całą noc. Przyrzekam ci wyjednać łaskę u ojca.

Dziewczęta odeszły. A Opin nie zważając na nic śpiewał. Głos jego rozchodził się z taką słodyczą i mocą, aż księżyc pobladł i gwiazdy straciły swój blask. Wtórował mu puchacz zamkowy swoim pohukiwaniem.

A kiedy już wszyscy zasnęli, wojewodzianka przekradła się do baszty. Podeszła do okienka celi i szeptała.

- Rycerzu, rycerzu, czemu zamilkłeś?

- Nie mogę śpiewać, zabroniono mi. Straże pilnują.

- Poczekaj, przekupię straże, aby niczego nie słyszały.

... Będę ci dawać znać dzwoneczkiem, że możesz słać swe słodkie pieśni do mego okna

Nazajutrz z rana rozległ się dzwoneczek. A że tajemnica jego dźwięku została powierzona zaufanej służącej, następnego dnia ze wszystkich okienek dochodziło delikatne dzwonienie.

I zaraz dała się usłyszeć pieśń, opiewająca szum borów, śmigających w powietrzu orłów, rozrywających wilki na strzępy.

Śpiewano o wspaniałych jeziorach pełnych ryb i córek Neptuna mieszkających na dnie wód w zaklętych zamkach. Przekupiona straż nie przeszkadzała. I tak codziennie, kiedy noc miękła, księżyc uciekał, rozwijały się mgły z sieci, purpurowiała wschodnia ściana nieba, Opin śpiewał i śpiewał.

Pewnego dnia Bogna przyszła do ojca.

- Chcę zobaczyć więźniów, którzy siedzą w baszcie.

- Co? – zdziwił się wojewoda. Niedługo zostaną skazani. Są butni. Nie chcą się nawrócić na naszą świętą wiarę. Są naszymi śmiertelnymi wrogami. Lepiej takie dusze wyzwolić z ciała, niżby niewierne ciało miało więcej grzechów popełnić.

- Ojcze – ja chcę ich zobaczyć. Tak pięknie śpiewają, a rzadko się słyszy wspaniałe melodie.

- Nie zawracaj mi głowy. Właśnie przez te ich śpiewy dziewek nie można było spędzić rano do roboty, tak śpią.

- Podaruj mi tato, tych niewolników, choć na jeden dzień, nasłucham się ich śpiewu i oddam ci ich.

- Nie upieraj się. Wracaj do komnaty.

...Tego wieczoru serduszko nie biło. Bogna płakała a okienko w jej pokoju było zawarte. Kiedy przyszła północ, wstała, zbudziła najwierniejszą służkę i poszły do baszty. Klucznikowi kazała otworzyć drzwi, a gdy ten się wzdrygał, wręczyła mu sakiewkę. Zamknięcia zostały odryglowane. W świetle łuczywa przypatrzyła się więźniom i zwróciła się do Opina.

- Wiem, że to ty tak śpiewasz. Śpiewem tym zachwycam się nie tylko ja, ale wszystkie dziewczęta w grodzie. Nie pozwolimy ci zrobić krzywdy, ale musisz zostać wśród nas.

- Ja kocham lasy i wody, kocham swój lud, dlatego nie mogę tu pozostać. Nie mogę przyjąć waszej wiary. Nie mogę zdradzić swoich bogów – mówił Opin i ciągnął dalej, - co byś powiedziała o mnie, piękna wojewodzianko, gdybym zaparł się swoich ojców? A patrzę na ciebie, jak na uosobienie bóstwa, bo jesteś czarująca, wspaniała i mądra.

Serce Bogny zaczęło żywiej bić. Słowa Opina wzburzały umysł.

- Ty jesteś przystojny – odparła, oblewając się pąsem. Chciała coś dalej mówić, ale nie mogła. Zakręciła się więc na pięcie i wyszła. Leżąc na łóżku rozmyślała:

- Co się ze mną dzieje, czemu nie mogę zasnąć – złościła się na siebie.

Nie, nawet o nim nie powinna myśleć. Przecież to dziki poganin. Martwiło ją to najbardziej, że jutro będzie niewyspana i zmęczona, a gderliwa matka będzie znów ją karcić.

- Przynoszę ci dobrą wieść. – rzekła matka wchodząc rano do sypialni - Na zamek przyjeżdżają sławni kawalerowie, książęta, synowie sławnych rycerzy. Sprawimy ci ładną suknię, bo musisz wyglądać wspaniale.

Minęło kilka dni, a do Ciechanowa ściągali goście. Przygotowano się do wielkiej uczty. Bogna uprosiła ojca, by na głównej uroczystości zaśpiewał Sasin. A kiedy wszyscy zasiedli przy stołach, do sali został wprowadzony Opin.

- Zaśpiewaj nam, proszę – odezwała się dziewczyna.

- Jakaś ty piękna – pomyślał śpiewak – dla ciebie to uczynię, ale nigdy dla tego towarzystwa.

- Czy to trubadur? – zapytał Bolko ze Śląska.

- Tak – odrzekła panienka.

- Taki młody, a jest już bardem – zauważył ktoś inny.

Opin nie patrzył na salę, skierował oczy ku dziewczynie i zaczął nucić. Ona czuła na sobie jego spojrzenie, które wnikało do serca, mąciło duszę i umysł.

- O Boże, co się z mną dzieje – myślała. Żaden z tych gości nie podoba mi się, a na tego Sasina mogłabym patrzeć godzinami i słuchać jego śpiewu.

Przez cały czas była zamyślona. Nie uśmiechała się, nie klaskała w dłonie, kiedy popisywano się zręcznością. Odmówiła nawet pójścia do tańca, a bawiono się ochoczo.

Widząc dziwne zachowanie córki, swarliwa matka odezwała się:

- Na litość boską, co się z tobą dzieje, czemu nie tańczysz?

Nazajutrz mówiono o dziewczynie, że taka ponura, że nie umie tańczyć, że taka ładna, a bez charakteru, a urodą jedzenia nie okrasi. Matka zaś krzyczała:

- Córko, przyniosłaś nam wstyd. Zamiast zachować się jak dziewczyna pełna powabu, godności, a zarazem dowcipu, tyś siedziała jak mruk, pozbawiony życia. A na tego niewolnika patrzyłaś jak w tęczę.

- Jutro każę go powiesić – wtrącił ojciec.

- Nie możesz tego uczynić ojcze, on tu musi zostać u nas.

- Pozostaną, ale jego kości – odparł gniewnie ojciec.

- Za co chcesz mu życie odebrać tato, przecież to niewinny człowiek, napadnięty, przywleczony tutaj, nie ma żadnych szans jako rycerz ?

- To poganin, nie rycerz, to wróg, który plądruje nasze ziemie.

- A nasi nie zabijają i nie napadają? – odparła Bogna. – A co do pogaństwa, to w wielu naszych miejscowościach wciąż jeszcze oddaje się pokłon Swarożycowi, Daćbogowi, Ładzie i Płonowi. Do chrześcijaństwa lud jest zmuszony. Napędza się go do świątyni pod przymusem, a po nabożeństwie idą przebłagać swoich bogów w lasach za to, że musieli kłaniać się Chrystusowi...

Wieczorem, jak przedtem, dał się słyszeć głos dzwoneczka. Za chwilę na ten dźwięk odpowiedział śpiewem Opin, co wojewodę doprowadziło do furii.

Powiedział do żony. – Musimy Bognę gdzieś wywieźć, choćby pod opiekę klasztoru benedyktynów w Mogilnie, którym płacimy daninę na utrzymanie.

- Święta racja – zgodziła się wojewodzina.

Przygotowano konie do drogi. Rozpacz dziewczyny nie miała granic.

- Nie. Nie pojadę, a jeśli mnie siłą weźmiecie, ucieknę – krzyczała – jeśli krzywdę zrobicie Opinowi, powieszę się! Taka jest moja wola ostateczna.

Rodzice byli nieczuli na łzy córki, została zamknięta w celi klasztornej. Rozpaczała, nie chciała jeść, Zawiedziony ojciec, wiedząc, że kara nie odnosi skutku, po kilku miesiącach pokuty

postanowił przewieźć ją do Ciechanowa. Kiedy weszła na zamek zapytała, co dzieje się z Opinem? – Proszę mi go przyprowadzić – wydała polecenie.

Niedługo, a do izby wprowadzono Sasina. Był wychudzony, zarośnięty, obdarty. Bogna bez namysłu rzuciła mu się w ramiona, ku zgorszeniu obecnych.

- Ja kocham cię. Bez ciebie nie mogę żyć. Serce moje innego już nie pokocha. Chcę być przy tobie, choćby jako niewolnica.

- Ja też pokochałem cię od pierwszego wejrzenia – powiedział Opin tuląc dziewczynę do piersi – To dla ciebie tak śpiewałem i dla ciebie chcę nadal śpiewać, choćbym miał być w niewoli przez całe życie.

Na wieść o tym ojciec z matką niemal postradali zmysły

- Co za wstyd, co za hańba – rozpaczali

A Bogna była twarda i na żadne rozmowy, dotyczące jej i Opina nie pozwoliła. Chcąc nie chcąc wojewoda musiał przygotować wesele. W wianie otrzymali spory obszar ziemi na wschód od Ciechanowa. Tam na wzniesieniu Opin wybudował zamek. A miejsce to zaczęto nazywać Opinogóra. Druhów Opina, którzy przeszli na stronę Mazowszan, wojewoda również wyposażył i tak: Rappatowi podarował, jako najdzielniejszemu i najbardziej roztropnemu, ziemię narażoną na ciągłe ataki Prusów za Działdowem. Potem jego synowie założyli na ziemi ciechanowskiej, gród o nazwie Rapaty. Ropyl otrzymał niewielki obszar ziemi, gdzie obecnie znajduje się wieś Ropele. Rumok dostał nadanie na południu za Ciechanowem – obecnie Rumoka.

Rycerze pobrali za żony ciechanowianki i tak zostało...

• **Alfred Borkowski** – poeta i prozaik, z zawodu lekarz. Laureat wielu nagród, założyciel Związku Literatów Polskich w Ciechanowie, autor kilkunastu książek.

Sygnet rodowy Hrabiów Krasińskich

Sygnet ten pieczętował związek małżeński gen. Wincentego Krasińskiego z Marią Radziwiłłówną. Symbolicznym znakiem tego związku jest dwupolowy herb wygrawerowany w szlachetnym kamieniu, przedstawiający „Ślepowron" Krasińskich i „Trąby" Radziwiłłów. Na wewnętrznej stronie obrączki pierścienia, odczytać można napis „19 Februar 1833". Ta data oznacza dzień, w którym Zygmunt Krasiński osiągnął pełnoletność. Nastąpiło to w Petersburgu, gdzie poeta przebywał w związku z historyczną wizytą u cara Mikołaja I. Dojście do pełnoletności oznaczało, że od tej chwili mógł on już dysponować majątkiem, jaki zapisała dla niego matka. Dlatego prawdopodobne jest i to, że właśnie w tym momencie generał Wincenty Krasiński włożył ten pierścień na palec syna.

Ślady I

Jesienne ogrody
gubią swe korony
porywem wiatru smagane
jak w odlocie ptaki...

Stóp które się zagłębiały
ślady tam zatarte
pamiątkę zachowały w sobie
i trwają wyciszone kroki...

Czas nie płoszy powrotów
gdzie dróg początek
gdzie utracone brzegi
znajduje gdzie szuka oko

2002

Ślady II

Pozostała tylko pamięć
pracowitych dawnych dni
dróg o wyboistych brzegach
Ślady w kamieniach ukryte
czyjeś ręce stopy w ziemi
i drzewo wryte w uwięzi lat

Dziś tak blisko na przełaj
w barwach ścian - Dom Boży
do obłoków się wzniósł
Dziś modłami nasiąka ziemia
zbieramy dobro jak plon
korząc się w życia podróży

2002

Ślady III

Było pięknie
promyk słońca budził
nie bolały trudy
przeszłość jak sen
czas już pomija
rzeczywistość jak zjawa
drżeniem się osłania...

Myśli nie osłoni
myśli nie zatrze
sięga tu i dalej
lata oddane patrzą
pamięcią tych dni
minionych w zmaganiach.

2002

• **Janina Boniakowska** – poetka z Ciechanowa, nestorka miejscowych literatów. Laureatka wielu nagród, autorka czterech tomików wierszy. Członek Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie i Związku Literatów Polskich w Ciechanowie.

***

Kiedy zasycha krew
budzą się słowa
niczym bojownicy wyrwani ze snu
gotowi są zmieniać historię
jak łatwo zabliźniają się rany
jak szybko pojawiają się nowe daty
kiedy nie nauczyliśmy się jeszcze poprzednich

ile to już tomów zapisano
o wielkich wodzach
którzy ruchem ręki
albo dwoma słowami
potrafili rozerwać brzuch pokoju

nie ma co się bać o ten świat
on przetrwa ułożony w stopach Boga
jako nakręcona zabawka
być może my umrzemy w łóżkach
nie czując ognia zniszczenia
nie będziemy dawcami krwi
w honorach wychodzić poza drzwi pokoju

słowa zawsze przywołać najłatwiej
chyba że jest się poetą
wówczas długo wychodzi się z milczenia
niczym obłąkany
który wróżąc z fusów przenośni
odkrył nową plejadę gwiazd
na czerwonym niebie

***

my tutaj jeszcze nie do końca wytresowani
jeszcze zabawni swoją naiwnością
opuściliśmy Moskwę a teraz w drodze do Brukseli
z tym samym uśmieszkiem
zakłopotani i dalej niepewni

uczymy dzieci angielskiego
sami nieporadni w językowym zakalcu
jeszcze powtarzamy Matejko Wyspiański Chopin
ale szybko i bez dodatkowych uzupełnień
po co narażać się Europie prowincjonalną rodziną

sami nie wiemy ile w nas głupoty
zakurzonej mądrości
którą strach ujawniać przed tymi tam
zza szerokich autostrad

zawsze najłatwiej było być Polakiem
kiedy nie było Polski
każdy usiłował dopłynąć do brzegu swojej historii
tak trudno być Polakiem przy otwartym oknie
kiedy za płotem już nie nasze
ile trzeba cichych rozmów
aby powiedzieć coś mądrego po naszemu

W międzyczasie

Wyrywek z obcego świata. Gdzieś zawieszonego
na gałęzi wszechświata. Jedno oko Cyklopa nieruchomieje, odbija
światło oddechu
niekoniecznie przyspieszonego. Po co?
Nie wchodzić do tej samej rzeki, kiedy można.
Tyle razy doznać oczyszczenia, albo złapać
kolejną rybę snu. Gwiazdy nie chcą spadać,
aby nie przewracać świata do góry nogami
Pies skamle nocą, bo boi się ciemności,
jak dziwka, która jeszcze nie opuściła ulicy
piastunki. Ktoś gubi kapelusz na wietrze
i po niego nie wraca, nie wierzy w powtarzalność
chwili. Jak miło iść przed siebie, pogodzony
ze światem co jak kawałek kolorowego szkła
kaleczącego dłoń, niby skrywane rozgrzeszenie,
które sami sobie udzieliliśmy. Gdzieś w międzyczasie.

• **Igor Kantorowski** – poeta i publicysta z Płońska, członek Związku Literatów Polskich w Ciechanowie.

Synu mój

Jesteśmy
Jak źródło i rzeka
jak łąka i kwiaty

Patrząc z dumą na Ciebie
gdy idziesz
polem
śladem swego ojca
pracą
czcisz ziemię
Modlitwą codzienną
Stwórcy

Stąpasz
i wiesz
że bez niej
byłbyś
niczym złamana gałąź
niczym na wietrze liść.

Usta

Usta nie są
Najlepszą bramą
Dla słów
Przepuszczają wszystko
Co dyktuje rozum
A czasem
Co serce
Zapala żarem radości

Często jednak
Słowa dyktują ustom
Złość
Nienawiść
Wtedy stają się one
Błotem
Ciskanym w człowieka
A błoto przecież
Nie pasuje
Do ust

Niepokój

Niespodziewanie
Jak podmuch wiatru
Niepokój nagły
Do mych myśli wtargnął
I radość codzienną
Zamącił

Stanęłam na rozdrożu
A tu drogowskazy
Połamane
W rozpalonej głowie
Nie ma odpowiedzi
Drogę wybrać
nad którą
załamać ręce

Co zrobić
By wrócił spokój
owiany zapachem kwiatów
w rękach wyciągniętych
do zgody

i sercach ludzi
niby w dłoniach
słońca.

Ręce matki

Ręce matki
Są niczym słońce
Po burzy
Niczym gołębie
Kołyszące ciszę
Ręce moje i matki
Przeniosły mnie
Przez niemowlęctwo
Postawiły na ziemi
Nauczyły chodzenia
Nauczyły
Składania mych dziecięcych
Rąk
Do modlitwy
Zaprowadziły
Do kościoła
Uczyły pracy
I szacunku
Do ziemi
ojczystej.

• **Barbara Krajewska** – poetka ze wsi Iwany gm. Janowiec Kościelny, laureatka licznych nagród. Należy do Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie i Związku Literatów Polskich w Ciechanowie.

***

wierne psie oczy
patrzą na mnie
z miłością

ufne dziecka oczy
patrzą na mnie
z wiarą

szare i głodne oczy
patrzą na mnie
z nadzieją

ludycznego tłumu oczy
patrzą na mnie
jak patrzy się
na igrzysko

pokaż mi wreszcie
swoje prawdziwe spojrzenie!

Do mistrza Jana

Dla uciechy własnej kronikarza
Co dnia myśli swoje
Na papier cierpliwy
Przelewam

Z oczywistej przyczyny samospełnienia
Obce znaki z własnym obrazem

W jeden pejzaż
Zestawiam

Już tak od lat sięgam po owoce z sadu
Rajskiego gdzie słońce
Jabłka zaczarowane dotyka
Dłonią złotą

Na niespokojnej równinie

wielkie nic dla zwykłych ludzi
                też coś znaczy
i choć krosno bez płótna nie jest
                zapowiedzią obrazu
to jednak pozwala wyciąć jakiś pejzaż
                z większej całości
przy dobrej woli nowych i starych apostołów
                można już z tego coś lepić
nowa zabawa w puzzle to przecież nic innego
                jak układanie barwnej mozaiki
ale niczego zaradzić się nie da na ograniczone
                siatkówką pole widzenia
skazani nieuchronnie na układanie własnych
                światów niezdolnych do życia

Okruchy myśli

Jeden z moich znajomych powiedział: „Wszystko czego pragnę, to znacznie więcej tego samego".

Współczesny człowiek wykorzystuje znikomą część swych możliwości poznawczych. Jest istotą w stadium tworzenia o nieodgadnionych jeszcze potencjalnych możliwościach.

Ci nieliczni, zachęcają do ukrycia „swego ja", do kreowania własnej drogi życiowej przy stanowczym trzymaniu się prawa bycia w zgodzie z własną inteligencją, talentami, prywatnością, są najdelikatniej mówiąc niemile widziani. Indywidualiści od dawien dawna są podejrzani.

Ci, którzy cieszą się przywilejem bezczynności, przeklinają swój czas, którego mają w nadmiarze.

Zrobiliśmy z pracy boga, ale wiara w niego nie znalazła takiego zainteresowania, jakiego spodziewali się jej prorocy.

W społeczeństwach, w których jest dużo nie wycenionej pracy, wszyscy się bardzo krzątają. Absurd polega na tym, że im praca jest wyżej wyceniona, tym mniej osób ją wykonuje.

Wszyscy mamy potrzebę robienia czegoś. Brak aktywności nas zabija, choć stan bezczynnej przyjemności, albo przyjemnej bezczynności był pożądany od starożytności. Mark Twain dowcipkował na temat pracy: „Gdyby była tak wspaniała, bogaci dawno by ją już zagarnęli".

Społeczeństwa postindustrialne przestały artykułować swoje programy. Kto będzie ich słuchał? Urzędnicy, funkcjonariusze państwowi, politycy?

Starzejemy się coraz szybciej. Ludzie w wieku średnim przestają rozumieć, co właściwie wokół nich się dzieje. Ludzie w wieku przedemerytalnym są zupełnie z „obcego świata", pozostają w wyizolowanych rezerwatach swoich rówieśników, bowiem tylko z nimi potrafią się jeszcze porozumieć.

Małe dziecko zachowuje w pamięci nasz wizerunek z tego dnia, kiedy ujrzało nas po raz pierwszy. Pewnie dlatego w drepczących obok staruszkach tak trudno rozpoznać własnych rodziców.

Największym zmartwieniem urzędnika jest to, że petent nie ma napisane na czole jak go traktować.

Nim mój język wyniósł na wierzch, co kazałem, już zostałem zakrzyczany.

Jesteśmy dziś przeświadczeni, że dzieje cywilizacji będą w przyszłości dzielone cezurą: przed nami i po nas. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że już dziś inni śmieją się z naszych „dokonań".

Będziemy tworzyć niezwykłość, ośmieszać normalność, poddawać w wątpliwość to, co oczywiste i powszechnie akceptowane. Najpopularniejszą grą będzie odszyfrowanie własnego wnętrza przez odpowiedzi na pytania: co w moim „ja" jest naprawdę moje.

Zachód wszedł na tryumfalną drogę w roli Kaczora Donalda w takim tempie, że nie ma czasu na jakikolwiek namysł.

Pytania o rozwój czy postęp stały się retoryczne. Dlatego próby opisania świata, w którym żyjemy, musimy dokonać samodzielnie. Okazało się bowiem, że budowanie własnego subiektywnego świata jest zadaniem równie ważnym, jak budowanie wielkich, pozornie uniwersalnych teorii.

Widzę oczami. Myślę oczami. Dzięki nim cieszę się pięknem świata, i pewnie dlatego coraz lepiej go rozumiem.

Człowiek powinien wreszcie odstąpić od zezwierzęcania siebie i uczłowieczania zwierząt.

Czystości ducha nie osiąga się przez hodowanie pobożnych życzeń i dobrych intencji.

Żywych słów nie da się krzewić drogą indoktrynacji albo naukowo zorganizowanej propagandy.

Poszukuj swych szans, tylko takim Bóg daje szanse.

Człowiek najchętniej zajmuje się dzieleniem świata wokół siebie na rewiry i kasty. Po co się wysilać, skoro wystarczy ustawić się w odpowiednim miejscu na szachownicy?

Znam takich, którzy zabijają własną i cudzą duszę w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Wydaje mi się, że już jestem mądry - do momentu, w którym się zdenerwuję.

Wielcy prorocy – mistrzowie pozytywnego myślenia uczyli swych adeptów umiejętności współżycia społecznego opartej o wypracowaną w sobie postawę ogólnej życzliwości. Taka postawa, ich zdaniem, jest nie tylko fundamentem pozytywnego współżycia społecznego, ale także rdzeniem dobrostanu indywidualnego.

Najnowsze badania nad stresem potwierdzają opinię starożytnych, że człowiek „truje się" stresem; u źródeł większości przewlekłych chorób tkwi długotrwałe, negatywne napięcie emocjonalne.

Wszechwładne i powszechne złudzenie: informuję, więc zmieniam.

Aby słowo miało moc sprawczą, musi być żywe, a wypowiadający je nadaje mu życie tylko w szczególnym stanie świadomości, przypominającej stan łaski.

Tylu już było grabarzy ludzkości, głupców – nieudaczników, szaleńców nieuleczalnie agresywnych; a teraz mamy ekspertów od kataklizmów i katastrof.

„Złoty wiek" kojarzy się nam z odległą historią... i słusznie. Dziś wszystko jest pokawałkowane i rozmazane i dyskretnie finansowane przez technopol.

Pogoń za nowymi technologiami, wydajnością, coraz sprawniejszą organizacją – wszechogarniająca nerwica natręctw prowadząca w szybkim tempie do paranoi.

Już bankierzy feniccy wiedzieli doskonale, że wojna jest pozbawiona wszelkiego sensu. Nie muszę podbijać twojego kraju, wystarczy że trzymam cię w kieszeni.

Demokryt mówił: złem nie są ani pieniądze, ani innego rodzaju dobra, złem natomiast są niepohamowane pragnienia, żądze nie do przezwyciężenia, to właśnie one wyzwalają w człowieku bestie i demony, czyniąc go głuchym i ślepym. Jak niewielu jest ludzi rzeczywiście odpornych na uzależnienia.

Sokrates twierdził, że bardziej nieszczęsny jest ten, kto dopuścił się nieprawości, niż ten kto jej doznał. Najtrudniej jest ukraść pierwszy milion, mówią dziś nowobogaccy.

Od Homera poczynając budujemy „złoty wiek". Zbudowano już fundament z wyobrażeń jedności świata przyrody i człowieka. Ale kolejni „budowniczowie" budują swe konstrukcje „na dziko", gdzieś obok, i najczęściej bez żadnych fundamentów.

• **Grzegorz Roszko** – poeta, prozaik, malarz. Kierownik Muzeum Pozytywizmu w Gołotczyźnie. Członek Związku Literatów Polskich w Ciechanowie.

Obraz „Oglądanie pola bitwy pod Samosierrą" namalowany przez Januarego Suchodolskiego wg. Horacego Verneta.

Jest przykładem jednej z fantastycznych legend, jakie wokół swojej osoby budował gen. Wincenty Krasiński. To on w środku sceny na białym koniu ogląda pobojowisko w towarzystwie bohaterów tej szarży: Andrzeja Niegolewskiego, który otrzymał 11 ran; Jana Dziewanowskiego – granat urwał mu nogę i w pięć dni po bitwie zmarł; oraz Jana Kozietulskiego – na pierwszej baterii otrzymał postrzał w nogę i nie brał już udziału w dalszej fazie bitwy. Dla generała nie ma znaczenia prawda historyczna. On komponuje taką scenę, na której tle ma błyszczeć jego postać.

Jesienny las

Nad klonami jesień
stłukła jajko
nad dębami rozlała
dzbanek czerwonego barszczu
żołędzie niechcący
postrącał dzięcioł
a wiewiórki po pniach sosen
ogniste strzałki

dumne z malinodania maliny
chowają ręce w mufki
z mgieł i pajęczyn
tylko wilcza jagoda w jagodach
żałość wypłakuje drżeniem
bo nikt jej nie chce

tu i tam parasol paproci
już mocno zrudziały
a pod nim
w nieskazitelnie
białej pończosze
czerwonym kapeluszu
zakazany owoc leśnego raju
zmęczony pozycją na baczność
czeka na zbawienny
akord zimy

20.X.2001 r.

Sarny

Jesień udziergała swój pejzaż
i nitek pajęczyny
wplotła kolory żółci brązu
aż po miedź
w tle umarła zieleń

po babim lecie
pozbierała resztki
srebrnego włosa
supełki powiązała
na wieczornym niebie

a z lasu
wyszły właśnie płowe zjawy
znaczą ich ślad
na burej szachownicy
gładko zaczesanych pól

Zachód nad Rumianem

W resztkach dnia
malachitowy brzeg
i roztrzepane pędzle traw
w nich po kolana olchy i brzozy
grupkami i pojedynczo chylą głowy
w koronkowych czepeczkach
chcąc zajrzeć w lustro przed snem
czerwone jarzębiny przestały klaskać
w koralowe dłonie
za nimi w tle brodate świerki
i sędziwe sosny ławą

pod ich czujnym spojrzeniem
spokorniał wiatr
wygładziła się tafla Rumiana
niebo chce przed nocą
ukryć w niej skarb ogniste oko
lecz ono uparcie wypływa
złocistym niepokojem

2000 r.

• **Hanna Jolanta Wiśniewska** – poetka z Działdowa, autorka kilku tomików autorskich. W 2002 r. przyjęta do Związku Literatów Polskich w Ciechanowie.

Upić się Chopinem

(fragmenty)

(...)
Gotycki koncert Notre Dame Chapelle,
Ballady g – mol wystrzeliły gotyckim łukiem
w otchłanie niebios

W części nokturnu cis – mol
wszystkie czerwienie, zielenie i żółcie
witraży zanuciły liryczną kołysankę
drobnemu dzieciątku
aby otrzymać odpowiedź
potęgi, siły i energii
poloneza as – dur,
który otworzył wrota
staropolskiemu tańcowi –
świateł i cieni.

Etiuda c – mol przybrana w okrągłą szatę szklanych
płytek nierównej grubości
przycinanych przy krawędziach
stworzyła poemat lśniący
bogactwem barw i różnicując
głębokie treści
syntezy ewangelii

Z kwadratowych i okrągłych
pól witraży otoczonych
szerokim obramowaniem

trysnęła
barwna czysta
a przerażający jasny błękit tła
przypomniał
dziecinne niebo bez trosk
minionych lat.

Święci, ubrani w zielone,
przylepione do ciała szmaty
upodobnili się
do wiejskich łąk,
gdzie dominowało
szeroko otwarte zdrowe płuco.
(...)

• **Anna Chełchowska** – poetka, właścicielka galerii sztuki w Montrealu. Pochodzi z Ziemi Ciechanowskiej.

Rodzinne strony

Zieleń sosnowych zagajników
ubarwia piaszczyste krajobrazy
smutek wczorajszych nocy
trwa w zadumie mazowieckich wierzb
stare krzyże ze skrzyżowań dróg
błogosławią rolniczej trudnej pracy
Tu się urodziłem i żyję w nowym domu
chwaląc Stworzyciela wszelkiego życia
W pobrataniu z przyrodą i ludźmi
Rodzi się tu nowy dzień
jeszcze nieznany przez chłopów
gnący ich plecy ku skarbnicy ziemi
oni tak umiłowali rolę
że po śmierci znów się nią stają
aby zieloność przynosić wsi
gdzie miłość wciąż się odradza
i znów obumiera jak wierzba przydrożna
gdzie wstęga Sony
i skowronki sławią urok wiosny
gdzie marsz traktorowy
ożywia murowaną wieś
Noce są jeszcze światłem
ukradzionym słońcu
schowanym w żarówkach
Tu witam dzień nowy w blasku świtania
tu pracę wsi sławię
głoszę miłość do mojej ziemi
w której zieloność się przemienię

Sona

Stoję na twoim brzegu miła rzeko
patrzę na puls twej toni
jak na pierś pięknej kobiety
w której bije kochające serce
Rzeko upływająca niczym czas
rzeko – wstęgo orderu
zdobiącego pierś mej ziemi
rzeko w której kąpie się moja
młodość
w lustrze gwiazd i błyskawic
Jesteś małą córeczką
matki Wisły
uśmiechasz się kwiatami
łąki w dolinie
którą orzeźwiasz swymi wodami
na chwałę rolniczej pracy
prosta gibka dostojna
Płyniesz Sono szczęśliwa
bo pożyteczna
mazowieckiemu chłopu zaślubiona

Pożegnanie poety

Ekscytuje majowy wieczór
płynie oratorium życia
w młodej barwności wiosennej
ostatnie promienie słoneczne
całują ciepłą ziemię

Cichy ukwiecony wieczór życia
Poeta odchodzi na zawsze
Żegnany nokturnem słowików

Zmęczony jak żniwiarz po pracy
Zgromadził owoce ducha
w stodole tomików wierszy

Promień pogody
oświetlił mu codzienność
horyzont czynienia dobra
Oczy niczym księżyc
odbijają słoneczny blask
Z prochu powstał
w proch się obrócił
lecz gołąb ducha szybuje tam
gdzie piękno absolutne
powstałe z Wieczystej Myśli

• **Stefan Chojnowski** – poeta ludowy ze wsi Sobokleszcz, pow. ciechanowski, Członek Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie, autor kilku zbiorków poezji, laureat wielu nagród.

Czas przeszły

Zdjęłam zegarek
by nie wymawiał czasu przeszłego.
A on jak niestrudzony wędrowiec
zakreślił kilkanaście
przegranych życiorysów,
kilka złych podróży.
Wróżebna oś zmieniająca bieg
czasu i miejsce.
Igrająca fala przypływów i odpływów
prehistorii i przeznaczenia.
Tajemnica istnienia,
krwioobieg myśli i uczuć
w studiach nad naturą.
Droga ku milczeniu
jest zawiła i tajemnicza

Szukamy

Szczęścia miłości
gdzieś daleko.
Płyniemy po talii życia
obszarze sennego widzenia
nie zauważamy,
że może być tuż tuż.
Wierząc głęboko w przeznaczenie
rozpisane na gesty,
spojrzeń i przebaczeń
jego rozległości i pustynny wymiar.
- Ten zapach –

taki mądry,
aby nie zniszczyć
gwałtowną niedyspozycją
trzeba dać mu dużo czasu
i cierpliwości
Barwiąc powieki na fiołkowo.

Ktoś o Nim zadecydował

Wiedział że odchodzi
byłam bezradna i załamana.
Z bólu składały się dni i miesiące
kroplówki, zastrzyki, leki.
Wychudzone ciało
przypominało krater niebieski
z podróży do Ziemi Obiecanej.
Patrzył oczyma pokonanego
z bezradnie opuszczonymi rękoma,
słowa grzęzły w krtani.
Czekanie –
i okrucieństwo losu
znało swą przewagę.
Marzenia –
zamknęły się w cichy niezmącony
wieczny sen.

• **Zenona Cieślak – Szymanik** – urzędniczka państwowa, z zamiłowania poetka. Łodzianka mieszkająca w Ciechanowie. Autorka pięciu tomików autorskich, laureatka nagród poetyckich.

Nieskończoność

Szłaś
W tej swojej kolorowej
Bluzeczce z łez

Słońce pochylało cienie
Zygmuntowskich Wież
I nagle
Pospadały gwiazdy
Pod nogi

- nieskończoność

(-bogów i niebios wyroki –
powiedziałem tak cicho
Że pewnie nie usłyszałaś)

Wigilia 1994 r.

Nie - powrót

Nie powrócisz? – Ojcze
Z tych borów
Niegdyś tak zielonych

Nawet Twój cień
Na ścianie znów pobladł
Wydłuża się wciąż jak ból

Przyszywany z orzełkiem
Na rogatywce
Matki drżącą ręką

Naprawdę już
Nie powrócisz z wojny
Co zachodzi
Cieniem pośród pól
Zapędzanych także jak ty,
Jak ja wciąż
Do lasu

I jakbym znów
Słyszał wciąż
Te wleczone mgły

O, ZNÓW NACISKASZ KLAMKĘ
JUŻ OTWIERASZ DRZWI
TO
TY?

BOŻE, OJCIEC!

Wigilia 1995 r.

Wigilijne scherzo

Przewracają się karty, opadają gwiazdy
Pobandażowane niebo posiniaczone, a jednak
Odbija purpurę
Września stycznia i listopadów
I zadumę przysiadłą na statui Thorwaldsena

Ta biel przyschła
Na wargach babiego lata

I purpurę mazurków
Przywiewa tu wiatr

Ale:
Łąki ni strumienie nie będą już grały
I gwiazdy z mazowieckich wierzb
Nie będą już spadały
Na klawiaturę fortepianu

Ale – oto orzeł
Zatoczył koło
I wzbił się nad Zamek

I znów jakbym usłyszał
Echo burzy dalekie
Jakby tylko utopione w rzece
Najcichsze najdoskonalsze
Trochę przytłumione

W szopenowskim rubato
W wigilijnym scherzo

Wigilia 1996 r.

• **Jerzy Stanisław Czajkowski** – poeta, rodem z podciechanowskiego Ościsłowa, warszawianin, należy do Związku Literatów Polskich w Warszawie.

***

Tak mi dobrze
w twoich ramionach
że parapet bezwstydny
który podgląda nasze uniesienia
czerwieni się jak dziewczynka
patrząca na film dozwolony
od lat osiemnastu
i parapet
i dziewczynka
nie wiedzą jeszcze
że między twoimi ramionami
a moim
pragnieniem śpi codzienna miłość

***

Kiedy odpoczywam
na twojej piersi
jak kropla przytulona
do szyby
na skraju powiek
unosi się szarość
wstającego dnia
długi pulsujący poranek
zbiera się do kolejnego lotu
moje ciało jeszcze tak
młode drży
by nie spłynąć strugą wody
przedwcześnie

***

Życie robi mnie w konia – więc nim
jestem
Z zapalniczką serca
podchodzę pod warowne mury
zamykam się we własnej wieży
odosobnienia
i ciśnień
wysokich lub niskich
nacisków
nieustępliwych i niezdecydowanych
Błąkam się
w lochu
swojej ciemnej
płci
Jestem po przejściach
podziemnych szlochów
Czasem wychodzę na spacery
Wśród gwiazd

• **Iza Filipek** – poetka z Warszawy, Laureatka XIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Laur Opina"
(2001)

***

Przyjedź do mnie chociaż raz
a pokażę ci strome brzegi Skotawy
to miejsce gdzie załamał się lód pod moim psem
między drzewami drga jeszcze mój krzyk
na niebieskich pajęczynach
i Budrys odwraca swój łeb
podając łapę jak wtedy z przerębli
tak to prawda nie szeptałem tu czule
żadnych kobiecych imion
chociaż okolica nastraja do rozbieranych randek
wykrzykiwałem tylko imię psa
gdy wypływał na powierzchnię
a potem tuliłem do siebie
drżące mokre futro i wybaczyłem mu
wszelkie nieposłuszeństwa
i tych siedem uduszonych kaczątek
których puszyste duszyczki poszły do nieba
jak mawiała moja córka
przyjedź do mnie chociaż raz
a pokażę ci pętlę rzeki
którą zarzucam na łkające gardło
i daremnie próbuję jak Wojaczek
odrzucić stopami upodloną planetę
za każdym razem wracam na ziemię
bo wystraszony pies przysiada na tylnych łapach
i liże moje dłonie

Kursk

Zimny nieśmiertelnik sparzył dłonie żony,
w gardle rośnie rozpacz, w kącie dziecko płacze,
droga na kolanach wiedzie do ikony,
gdy dostojnie milczą kremlowskie pałace.

Już rozdarł poszycie w imię pokoju grom,
dwudziestu trzech dobę ostatnią odlicza,
na Kremlu wciąż cisza, Moskwa nie wierzy łzom,
trzeba jej pokazać gest Kozakiewicza.

Zaciśnięte usta jak samogon sine
i sinieją chłopcy w przedziale dziewiątym,
Kreml zaraz przemówi, już przełyka ślinę,
nurkowie na mapie odmierzają kąty.

Kto słyszy stukanie? Serca biją o dno,
odbijają w wodzie spuchnięte oblicza,
Ostankino milczy, Moskwa nie wierzy łzom,
trzeba jej pokazać gest Kozakiewicza.

I wodoodporny zmoknie od łez papier,
nim młody kapitan złoży swój meldunek,
nim ostatni oddech jak jaskółkę złapie,
wyciągnie jeszcze dłoń, przysięgę zrozumie.

Jak mam słoną wodę oddzielić od ich łez?
Odgadnąć imiona? Zimna do nich droga.
Moskwa nie wierzy łzom, potrzebny jest jej gest,
najprostszy ludzki gest, gest ze strony Boga.

Niewielka noc

Gdy nie ma nadzei na kobietę,
A przez szpary okien wdziera się świt,
Uśnij na podłodze z jej portretem,
Tam gdzie twój bury pies już dawno śpi.

Bo w szparach podłogi cichy zapach
Pomieszał ze łzami wczorajszy kurz,
Złóż spokojnie głowę na psich łapach
I śnij o jej biodrach w ogrodzie z róż
Pies ogryzie twe sny aż do kości,
zobaczysz, że szczęście buło o włos.
Stare, twarde ciasto zamiast gości,
A zamiast dyngusa – psa mokry nos.

• **Jerzy Fryckowski** – poeta z Kaszub. Jeden z laureatów XIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Laur Opina"

Pieśń morska

Podążając za Gallem Anonimem

Hanzeatycki ja rodowód mam w herbie,
Za nic mi dęte piszczałki podrzędnych włodarzy.
Kaligrafią mewy oczy pieściłam
i blaskiem rozłożystej rzeki.

Od pik żelaznych oczy mi zalśniły
Wilczym blaskiem z bagien dom chował.
Z towarem ja w beczkach do miast płynęłam
Ze śledziami, węglem i zbożem.

Zaświeciły mi pola złotej Flandrii.
Bóg znak postawił na placu w Antwerpii,
Bruegela i Boscha ja kochałam
i mlecznej plaży sypki dotyk.

Niech to co dobre, tu zostanie
I blask naszego życia się rozsiewa
Tam, gdzie krzyk mewy i historii dotyk,
trwanie będzie jak spiż, a zasługa w niebie

***

Nie byliśmy wolni,
byliśmy spętani.
Przemierzając setki kilometrów
trzymała nas w rękach stugłowa hydra.
Wiliśmy się w konwulsjach

odpowiadając na pytania, uśmiechając się wokół.
Nie byliśmy wolni,
oglądaliśmy z samochodu balsamiczne łąki,
w gardłach uwiązł nam zachwyt dla małej Europy.
Spacerowaliśmy po jej parkach i pastwiskach
z toporem słońca w plecach.
Chcieliśmy wolności, skały i źródła,
powtarzaliśmy za Homerem pieśni miłości
i za Baudelairem pieśni obrzydzenia.
Kochaliśmy źródło i skrzydło porsche na włoskiej autostradzie.
Ale Europa przestała być słodka,
a Ameryka nie przyniosła mądrości.
Chodziliśmy śmieszni, pożądliwi i pełni zgiełku.
Nie było dla nas zbawienia,
czekały nas kotły ze smołą i czarci ogon.

Cmentarz

Płonęły cmentarze od zniczy i klonów,
a łuna pokutna wgryzała się w niebo.
Zagubiony człowiek w meloniku, z laską
Grał nokturn, a przyszedł z obrazu Dalego.

Szliśmy alejami, spleceni za ręce.
Z tymi, których nie było i nigdy nie będzie.
Z aniołem, diabłem, pod wyrokiem nieba,
Baliśmy się śmierci, a śmierć była wszędzie.

Wskoczyła nam na plecy, zadzwoniła kosą
i zęby pokazała w okrutnej uciesze.
Kobietom zastygł na twarzach ostatni rumieniec,
mężczyznom blacha wstydu zadzwoniła w niebie.

Cisza była tak straszna, ptak przestrzeń otworzył,
złamana gałązka pod butem uwięzła.
Baliśmy się śmierci, a śmierć była wszędzie,
mroziła nas oddechem, batożyła śniegiem.

• **Elżbieta Juszczak** – poetka, dziennikarka, polonistka z Koszalina. Stypendystka ministra kultury, laureatka licznych nagród. Należy do Związku Literatów Polskich w Koszalinie.

***

chwalmy Pana naszego Stwórcę
pracujmy twórzmy módlmy się
i kochajmy
chwalmy Pana naszego Stwórcę
kłaniajmy się Bogu wszędzie
cześć Mu oddawajmy
myślmy o Nim
w czasie wysiłku i poniżenia
w chwilach przyjemnych i radosnych
w przeżywaniu piękna
chwalmy Pana

***

Byłem wczoraj na cmentarzu
Tablica informuje o śmierci ojca
12 lat temu
zapalam znicze
skupiony modlę się
promienie słoneczne ożywiają
skurczone po nocnym chłodzie bratki
w zeszłym roku obok mnie
pochylała się tutaj matka

• **Adolf Krzemiński** – poeta, urzędnik, animator kultury, Prezes Grupy Literackiej „Łuczywo" w Radomiu.

Radość zbudzonych ptaków

Nie każdego z nas
Upatrzy sobie radość
Zbudzonych ptaków
Po nieprzyjaznej nocy

Choć może
Mieć serce lżejsze
Od wiosennej poezji
Słowa przytulać
Do jej piersi

Choć może
Łączyć oddech ze strachem
Europie ubogiej we łzy
Rosą napełniać naczynia

Choć może
Zbierać jesienią osierocone liście
Zimą znikać aż do pierwszej burzy

Choć może
Tysiąc dobrych wierszy
Położyć na łące

To nie wystarczy ptakom
Zbudzonym po
Nieprzyjaznej nocy

Adam

Mój przyjaciel jest Żydem mieszka
W Jersey i ma adres internetowy
Yahoo@.com spotyka się go w Łodzi
Na ulicy Piotrkowskiej i w redakcji Tygla Kultury

Jego wiersze o dzieciństwie w Oświęcimiu to
Dla mnie kraty więzienne poznane z tamtej strony

Choć kilkadziesiąt lat temu dostał nakaz
Wyjazdu do Izraela a 11 września 2001
Po trzydziestu trzech latach zrozumiał
Że jest też dorosłym Amerykaninem
Polska zawsze była dla niego ojczyzną

Jakim jest mężem i ojcem tego nie wiem
Bo jak dotąd nie przeniósł mnie żaden
Ponaddźwiękowy samolot do jego
Amerykańskiego wspaniałego domu

Wiem natomiast że jego czysta poezja
Odpowiada na to i inne pytanie stawiane
Przez tych którym zwierzęcy instynkt
Nakazuje pożerać tego typu problemy

Dwa lata temu wszedł do Kościoła katolickiego
On Polski Żyd za rękę ze mną Polskim Niemcem
Na kolanach pokłonił się Panu Bogu i Chrystusowi

Gdy chór skończył śpiewać pieśni niemieckie

Bo rzecz się działa na Opolszczyźnie wzruszony
Przeczytał swój wiersz z tomu „Życie pod prąd"
I już wiedziałem że będę czekał na jego
Wspaniałą obecność w mojej Europie

Czerwiec 2002

gdy odejdę

gdybym kiedyś miał odejść
niech wcześniej spłynie żal
za te młode i stare błędy
synka ojca dziada

nie wrzucajcie moich zwłok
do skrzyni przy płocie
są przecież tacy którzy
potwierdzą że się starałem

co najwyżej mówcie cicho
aby grabarz nie rozrzucał
po cmentarzu niby – polski
nielogicznie przykucnięty strach

przywiązany do tradycji
oparty na rodzinnym sercu
krzykiem poezji w portfelu
i prawdą płaciłem za życie

choćby w niektórych sensacjach
wspierajcie moją nieobecność
są wśród nich fakty dla obrony
mojej twarzy mogą być tarczą

pracujcie nad odczytaniem moich
dokładności w słowie poezja
to nie bezczelna improwizacja
poddana próżnym impulsom

• **Józef Pless** – poeta, pisarz, tłumacz z Lubeki. Jest polskim Niemcem urodzonym w Grudziądzu, laureat nagród ogólnopolskich i europejskich, autor kilku autorskich tomików.

***

Oddaj
Moje zawstydzenie
Uśmiech tamtego poranka
Ciepły dotyk na krawędzi bioder

Oddaj
Słowa wyszeptane
których nie słyszałeś
Listy
których nie dostałeś
Zaklęcia
rzucane w opustoszałą noc

Oddaj moje serce
ten zbyteczny balast

***

Ginę w twoich rękach
Staję się garstką piasku

Jestem sypka ulotna
Przesypujesz mnie powoli
Z ręki do ręki
Nawet jedno ziarnko
Nie zostało

***

Lato
pachnie trawą
błękitem chabrów
kołysze świergotem ptaków

Latem mówiłeś
Ech zapomnij o wszystkim
Zrzuć tę suknię
tylko przeszkadza
Dotknij leśnego mchu
zobacz
niebo jest tak wysoko

Dlaczego tak bolą
poranki bez ciebie

Skoszoną trawą
pachnie lato

• **Małgorzata Płoszewska** – pedagog teatralny, autorka scenariuszy, poetka. Płocczanka mieszkająca od kilku lat w Niemczech.

Warkot koszmaru potępienia

Nie spotkają się jesienią
latem rozłączeni
(Marian Ośniałowski, Piosenka 11)

w kruchych szatach przetrwania
zasiałem kwiaty moich pragnień
sczerniała twarz słonecznika
zboczone anioły wspomnień
żonglują na dachu wieczności
drzewa kołyszą się nad moją skargą
drwią z nadziei usychające liście

dla mnie wszystko było tobą
dlaczego dałeś mi na własność
szyderczy uśmiech obietnicy
otwieracz konserw przeszłości
wodospady bólu
niebo opieczętowane krukami
złowieszcze pomruki za furtą horyzontu
gdzie podstępne wiatry obracają wiatraki
[rozczarowań
i krwawią cienie grozy
po oszukańczym pocałunku

31 sierpnia 2002

Kuszenie I

ach aniele nie boży
przez wzgląd na kosmetykę czasu
zapomnijmy o cuchnącym oddechu zdrady
nie będzie cię w następnym wcieleniu
przyjdź teraz w opustoszałe zaułki szczęścia
gdzie są ptaki łagodnych uniesień
w samo rozgrzane jaskółcze południe
mimo czerwonego podstępu muchomora
firan nocy w oknach dnia
i stalowego dotyku anioła potępienia
niech bluzgają wulkany ciemności
na fundamentach przemijania

31 sierpnia 2002

Jesień z roku na rok przychodzi coraz wcześniej

znów jesień
pod lupą ciemności
osobnik wielkiego przekreślenia
dławi odruch nieziemskiego ryku
jakież to typowe dla konającej ciszy
nie może zmienić przegranego życia
napięte żyły doświadczeń
w pokoju żądz nieustannego nienasycenia
rozłażą się pająki okropności
rozkładają się zwłoki postanowień
w kagańcu wiecznej nocy
w dzikim tańcu myśli

poezja głównego wątku rozpaczy
przepija kolejne puchary niemocy
do pustki w zaciśniętej pięści

sierpień/wrzesień 2002

• **Lesław Jan Urbanek** – poeta, brat zakonny Braci Mniejszych Kapucynów. Pochodzi z Korczyny k. Krosna, jest członkiem Związku Literatów Polskich w Rzeszowie.

Ikar losu

Uskrzydlony niczym Ikar
Wznoszę się ponad stan...
W promieniach słońca
Topi się wewnętrzny żar...

Ktoś woła, krzyczy,
Nikt nie słucha...
To tylko starzec
Prosty sługa...

W morzu promyk zgasł,
Nie słychać łkania...
Przecież nikt nie zginął
tylko marzenia...

Głęboka rzeka

Świat złudzeń
daleki od prostoty
nie biegnie
wzdłuż ścieżki szczęścia.

Niczym głęboka rzeka
połyka człowieka
razem z ideałami
buntowniczego serca.

W tej głuchej toni
nie słychać melodii

są tylko szepty
niespokojnego sumienia.

Żar wypala się
wszędzie złowrogi dym
zamglone spojrzenia
to nie my...

Nie ogarniasz bezmiaru
smakujesz życie
wszystkimi zmysłami
a ono nadal niepełne.

Wciąż szukasz
podążasz tą samą ścieżką
usypaną płatkami róż
ozdobioną pieśnią.

28.04.2002

Płonąca żagiew

Pusty do cna,
Ograbiony z nadziei,
Płonę zgasłym płomieniem
Od wieków...

Witam próżne świątynie
Oschłym spojrzeniem,
Szukam
Po krańcach świata...

Upadłym westchnieniem,
Kruszącą miłością przynaglony
Upadam,
By powstać...
Na nowo!

• **Adam Załęski** – uczeń IV klasy I Liceum Ogólnokształcącego im Zygmunta Krasińskiego w Ciechanowie. Ma 17 lat, debiutował w 2000 r. w *Naszym Dzienniku.*

Zabawa w dorosłych

na peronach z tafli lodu
tykają zegary o tarczach
pyzatego słońca

po gumowych szynach
toczą się drewniane koła
tekturowych lokomotyw

lizaki o barwach
umownych w symbole
dają wolną drogę

rozlega się sygnał
chłopca – konduktora
unosi nas wagon przeznaczeń

niezależnie od okoliczności
zbliżamy się do celu
bardziej dziecinni od dzieci

Własne narodziny

Powiedziano mi o własnych narodzinach
że w czepku,
że w niedzielę,
że wiosną...

Chodzę więc
w czepku urodzony,

w niedzielę,
wiosną

i oczekuję
spełnienia przepowiedni
miłości człowieka
do człowieka

Przemijanie

W pierwszą rocznicę śmierci Mamy

Bez Niej wszystko dalej się toczy,
lecz jest teraz całkiem inaczej;
gdyż zabrałeś do siebie, mój Boże,
moją cząstkę i pełnię wybaczeń.

Jeszcze tylko dzisiaj dopowiem,
o czym wczoraj nieśmiało szeptałem;
że największą porażką człowieka,
jest pośpieszne najbliższych kochanie...

Rzeszów, dnia 23 lipca 1996 roku

• **Wiesław Zieliński** – dziennikarz, prozaik, poeta. Prezes Związku Literatów Polskich w Rzeszowie. Laureat wielu ogólnopolskich nagród poetyckich.

TERESA KACZOROWSKA

Sztuka ze źródeł

Cenię lokalność, intymność. Bo sztuka prawdziwa pochodzi ze źródeł, z niewielkich ojczyzn. I o jej poziomie decyduje nie wykształcenie, tylko wyobraźnia twórcy.

Słowa te Wiesław Myśliwski powiedział w Rzeszowie 22 września, odbierając „Diamentowe Pióro" przyznane mu przez podkarpackich literatów, z okazji 35-lecia istnienia rzeszowskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

- Sprawiliście mi tym „Diamentowym Piórem" wielką radość, nie dlatego, że jest ono diamentowe, ale że rzeszowskie - dodał wielki pisarz. - Z tą ziemią, która sąsiaduje z moją rodzinną Sandomierszczyzną, łączą mnie nie tylko praktyczne, ale i liryczne związki. To tutaj zetknąłem się z największymi zjawiskami kultury polskiej.

Jako przykład tych zjawisk autor „Widnokręgu" podał dwóch wywodzących się z Rzeszowszczyzny pisarzy: Juliana Przybosia - eurydytę, który wywarł największy wpływ na polską poezję współczesną, całkowicie ją odmieniając; oraz Romana Turka - poetę niemal niepiśmiennego, ale bardzo utalentowanego, wręcz fenomenalnego. - Nie ma pomiędzy nimi wielkiej różnicy, choć pochodzą z dwóch różnych biegunów - argumentował Wiesław Myśliwski. Składając hołd literackiemu Podkarpaciu wspomniał, że nigdy nie był na tak poetyckim pogrzebie jak na Juliana Przybosia, ani na bardziej poetyckim jubileuszu jak Romana Turka...

„Diamentowe Pióro" rzeszowscy literaci przyznali po raz pierwszy w swej 35-letniej historii. Dopiero od tego roku zamierzają je wręczać wybitnym pisarzom polskim co pięć lat. Ale od dziesięciu już lat nagradzają co roku „Złotymi Piórami" największe dokonania swoich pisarzy i poetów. Tegorocznymi laureatami zostało czterech spośród trzydziestu trzech członków ZLP w Rzeszowie: Regina

Schonborn z Soniny k. Łańcuta za tomik poetycki „Tylko róża", Władysław Turek z Krosna za tomik poezji „Zasiany czas", Zbigniew Domino z Rzeszowa za powieść „Syberiada polska" i Adam Decowski z Rzeszowa za zbiór fraszek „Ciągle modny grzech pierworodny".

- „Złote Pióra" funduje nam od czterech lat pan Andrzej Strumski, prezes Marspol-Grupy z Rzeszowa. Dziękujemy! - podkreślał ze sceny Wojewódzkiego Domu Kultury Andrzej Zieliński, szef O/ZLP w Rzeszowie, podczas uroczystości.

Obchody 35-lecia rzeszowskiego oddziału ZLP trwały na Rzeszowszczyźnie trzy dni. W programie była nie tylko msza święta i duża jubileuszowa uroczystość w WDK z udziałem najwyższych władz wojewódzkich i samorządowych oraz najlepszych poetów i artystów, podczas której wręczono liczne odznaczenia, wyróżnienia i dyplomy literatom, ich przyjaciołom, sponsorom. W pobliskiej Kamionce, gdzie urodził się Wilhelm Mach, odbyła się też ważna sesja literacka. Sesję poświęcono przede wszystkim przypomnieniu twórczości nieżyjących już znanych ludzi pióra tej ziemi: Wilhelma Macha, Juliana Przybosia, Władysława Strumskiego. Kilkoro uczonych z Uniwersytetu Rzeszowskiego przybliżyło ich życie i dorobek, potem odwiedzono miejsca z nimi związane, złożono kwiaty na ich grobach. Na Podkarpaciu dba się o zachowanie pamięci własnych pisarzy: w rodzinnej Kamionce Wilhelm Mach jest patronem szkoły, są dwie tablice pamiątkowe, jego izba pamięci. W Gwoźnicy Juliana Przybosia istnieje poświęcony mu skansen, a grobami podkarpackich literatów opiekują się w dużej mierze młodzi czytelnicy. Uczestniczyli oni także w jubileuszowej sesji literackiej i w kilku spotkaniach z zaproszonymi literatami.

- To budujące, że na Podkarpaciu panuje kult Przybosia, Macha, Strumskiego. Kultura regionalna jest dziś ratunkiem dla naszej narodowości - chwalił misję kulturotwórczą mieszkańców Jacek Kajtoch, eseista i krytyk z Krakowa.

Oryginalną formą zachowywania tradycji literackich tej ziemi było też reaktywowanie Julińskiego Bractwa Literackiego. Bractwo to założono w 1979 roku w Julinie koło Łańcuta, w dawnych dobrach

ostatniego ordynata Potockich, ale od kilkunastu lat było martwe. Wiesław Myśliwski, jeden z pierwszych założycieli Bractwa, przyznał, że to zgromadzenie koleżeńskie może spełnić dziś rolę integracyjną rozbitego środowiska literackiego, przyczynić się do „zakopania rowu pomiędzy formalnymi organizacjami literackimi". Kapituła Bractwa (Wiesław Myśliwski, Julian Kawalec, Jan Goczoł, Zbigniew Domino i Wiesław Zieliński) przyjęła nowych członków. Muszą oni, zgodnie z liczącym ćwierć wieku Uniwersałem Julińskiego Bractwa Literackiego, miłować Ziemię Rzeszowską, tworzyć o niej dzieła wiekopomne, głosić jej chwałę „nic z miłości dla całej Ojczyzny nie ujmując"....

Ponieważ wypiłam podkarpacki barszcz, zgadzając się tym samym zostać jedną z sióstr Julińskiego Bractwa Literackiego, zaczynam więc już głosić, że Ziemia Rzeszowska rodzi utalentowanych ludzi pióra, gdyż jest malownicza, pachnąca żywicą, gościnna i wielka w swej szczodrości. Prezes Oddziału Warszawskiego ZLP, Marek Wawrzkiewicz, też brat Julińskiego Bractwa Literackiego, zapewnił, że w Warszawie zostanie już w październiku otwarta ulica Juliana Przybosia. My zaś, literaci ziemi ciechanowskiej, publikujemy na początek wiersze dwóch rzeszowskich literatów: prezesa Wiesława Zielińskiego oraz zakonnika Lesława Jana Urbanka. Prosimy też Rzeszowian o przyjęcie jubileuszowych gratulacji od oddziału ZLP z Ciechanowa, młodszego dokładnie o trzydzieści lat.

Jesienie Poezji: Warszawska i Ciechanowska

Poezja jest wieczna

XXXI Warszawską Jesień Poezji poprzedziła w tym roku Ciechanowska Jesień Poezji. Prezes warszawskiego oddziału ZLP Marek Wawrzkiewicz podkreślił to już w czasie inauguracji w Zamku Warszawskim, w obecności marszałka sejmu, prezydenta Warszawy oraz prawie 100 uczestników z 20 państw. Poetycki duch ziemi ciechanowskiej unosił się więc już od początku tej największej w kraju poetyckiej imprezy, tym bardziej, że także w trakcie jej trwania przypominali o tym uczestnicy Warszawskiej, a jednocześnie Ciechanowskiej Jesieni Poezji.

Rankiem, 9 października, przyjechało z Warszawy do Ciechanowa ośmioro uczestników Warszawskiej Jesieni Poezji, z pięciu krajów: Andrew Busza z Kanady, Lam Quang My z Wietnamu, Stanisław Szewczenko z Kijowa, Wojciech Piotrowicz z Wilna, a z Polski: Marek Wawrzkiewicz i Janusz Termer (Warszawa), Krystyna Konecka (Białystok) i Elżbieta Musiał (Kielce). Poza nimi po raz pierwszy zostali zaproszeni poeci ze wszystkich byłych stolic wojewódzkich z terenu całego Mazowsza: Adolf Krzemiński (Radom), Eugeniusz Kasjanowicz (Siedlce), Wojciech Łęcki (Płock), Wiesław Mikulski (Ostrołęka). Na CJP obecni też byli reprezentanci jeszcze innych miast, m.in. Elżbieta Juszczak z Koszalina, Grażyna Gzara z Bydgoszczy, Zdzisław Łączkowski z Warszawy. Wszyscy, po krótkim porannym spotkaniu z miejscowymi poetami w kawiarni Artystycznej, wybrali się zaraz z ciechanowskimi literatami na spotkania autorskie do szkół ponadpodstawowych Ciechanowa albo, jak Janusz Termer czy Wojciech Łęcki, prowadzili warsztaty poetyckie dla miejscowych twórców.

Później, po wspólnym obiedzie, wszyscy uczestnicy CJP pokłonili się Zygmuntowi Krasińskiemu: w podziemiach opinogórskiego kościoła i w Muzeum Romantyzmu. Dla większości było to dużym przeżyciem.

- Nigdy nie pomyślałam, że będę stała przy jego grobie. Okazało się, że tylko on jeden z trzech wieszczów potrafił przewidzieć obecną rzeczywistość - powiedziała Elżbieta Juszczak z Koszalina, podkreślając wyższość Mazowsza nad Pomorzem Zachodnim, gdzie brakuje śladów polskości. - Wam jest łatwiej tworzyć polską literaturę, bo możecie oprzeć się na kościach... - mówiła.

- To cudowne być w miejscu, gdzie żył Zygmunt Krasiński. Nigdy nie zapomnę tej pięknej rzeźby matki z synem wykonanej z białego marmuru z opinogórskiego kościoła! - zachwycał się Stanisław Szewczenko, poeta, dziennikarz i tłumacz z Kijowa.

Romantyczny nastrój był później kontynuowany we wnętrzach opinogórskiej oficyny, gdzie wszyscy poeci, i goście, i miejscowi dzielili się swoją twórczością. Ich strofy okrasili Ania Fabrello i Wojtek Gęsicki pięknym koncertem poezji śpiewanej. Wcześniej jurorzy ogłosili wyniki XIV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Laur Opina". Jego laureatami zostali w tym roku: Marek Kowalik z Zawiercia, Arkadiusz Frania z Częstochowy, Anna Czujkowska z Lublina ,Lidia Lachowska z Przewodowa (za wiersz o tematyce ciechanowskiej) i Wanda Gołębiewska z Płocka (za wiersz o Opinogórze). Wyróżnienia otrzymali również: Tadeusz Zawadowski ze Zduńskiej Woli, Daniel Ratz z Płocka i Michał Jarpułkiewicz z Gdańska. - Konkurs miał zasięg ogólnopolski, wpłynęło dużo bardzo dobrych wierszy wśród 98 zestawów - zapewnił Marek Wawrzkiewicz, przewodniczący jury.

O poezji rozmawiano także później, w czasie uroczystej kolacji w kawiarni Artystycznej. O pięknie i suto nakrytym stole, ciechanowskich tradycjach literackich opowiadano też jeszcze w Warszawie. I na przyszły rok zapowiedziało się wielu chętnych. - Wyjazd do Ciechanowa i Opinogóry to wyróżnienie, dlatego chcieliby wszyscy - śmiał się Zdzisław Brudnicki, literat z Warszawy, od lat zaprzyjaźniony z ciechanowskim środowiskiem twórczym.

Tegoroczna Warszawska Jesień Poezji była poświęcona głównie tłumaczeniom polskiej poezji. Podobnie jak przed rokiem zainaugurowano ją w samo południe, 10 października, w rozświetlonej, złotej sali balowej Zamku Królewskiego. Dwie godziny wcześniej jedną z ulic w centrum stolicy nazwano imieniem znanego poety Juliana Przybosia, dlatego w Zamku Wojciech Siemion zaprezentował po mistrzowsku jego utwór „Noc majowa".

- Na uroczystość nadania imienia tej ulicy przybyły córki Juliana Przybosia oraz poeta i krytyk Tomasz Jastrun, syn Mieczysława, czyli dzieci poetów ze sobą bardzo skonfliktowanych - powiedział otwierając XXXI WJP Piotr Kuncewicz, prezes ZG ZLP, laureat ustanowionej w tym roku przez mazowiecki sejmik nagrody im. C.K. Norwida. - Tak samo zostaną kiedyś zapomniane wszystkie waśnie, różnice i podziały w dzisiejszym środowisku literackim. Dla przyszłości pozostaną tylko nasze dzieła, a jeśli nawet ulegną zniszczeniu to odbudują się, tak jak ten zamek.

O przetrwaniu poezji, choć „jest ona gdzieś w oddali" zapewniał też patron imprezy marszałek Sejmu Marek Borowski. - Przekazywanie uczuć odległemu czytelnikowi jest stale aktualne, bo ludzie potrzebują uczuć. Poezja będzie więc wieczna - mówił, przyznając się, że w trudnym momencie życia też napisał dwa wiersze...

Tegoroczna Warszawska Jesień Poezji była przygotowana z rozmachem, choć organizatorzy zapewniali, że pieniędzy mieli mniej jak przed rokiem. Piękny spektakl poetycko-muzyczny oparty na poezji Jarosława Iwaszkiewicza pokazał podczas inauguracji Adam Hanuszkiewicz i jego aktorzy. A w ciągu trzech dni odbyło się ponad 400 różnego rodzaju imprez: począwszy od spotkań autorskich i lekcji poetyckich w szkołach oraz instytucjach kultury, po koncerty, wystawy, dyskusje, sesje krytyczno-literackie. W organizację włączyły się w tym roku Urząd Marszałkowski oraz Mazowieckie Centrum Kultury i Sztuki, stąd nazwę imprezy zmieniono na Mazowiecką Jesień Poezji, do czego większość uczestników nie potrafiła się jednak przyzwyczaić.

Jedna z najciekawszych sesji tegorocznej Jesieni odbyła się w Domu Literatury pod hasłem „Poezja polska w moim kraju". Wystąpili na niej tłumacze, krytycy i poeci z zagranicy. Ogólnie chwalono polską poezję, ale na WJP zabrakło przedstawicieli z wielu krajów, np. z Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch, czy Stanów Zjednoczonych. Powtarzały się opinie, że z polskiej poezji najczęściej tłumaczone są utwory Szymborskiej, Miłosza, Herberta, Różewicza, a z prozaików Gombrowicza i Kapuścińskiego. Spośród poetów przybyłych z ok. 20 krajów, najbardziej polską poezję chwalił Philip Rosenau z Izraela. - Polska poezja jest w moim kraju wzorcem, publikują ją nawet codzienne gazety - mówił. - Żydzi kochają polskich poetów, istnieje wielu tłumaczy przekładających polskie dzieła na język hebrajski.

Natomiast Nikos Chadzinikolau, Grek z Delf osiadły w Poznaniu, przyznał, że polska poezja jest w Grecji zupełnie nieznana. - Nikt nie zajmuje się jej tłumaczeniem, bo trudno na tym zarobić pieniądze - tłumaczył.

Z kolei Josef Pless z Lubeki poinformował, że w Niemczech polska poezja żyje, bo jest kilku znakomitych tłumaczy. Zadeklarował gotowość do współtworzenia Literackiej Unii Europejskiej, dzięki której literatura polska miałaby szerszy zasięg. - Czynię takie starania, fundamenty Unii już powstały - mówił.

Dużym zainteresowaniem cieszyły się też wystawy: dokumentalna „Jarosław Iwaszkiewcz - życie i dzieło" (w Domu Literatury) oraz fotografii Krystyny Koneckiej (w Mazowieckim Centrum Kultury i Sztuki). Niektóre imprezy przedłużały się do późnych godzin nocnych, np. prowadzona przez Marka Wawrzkiewicza „Noc poetów", czy skierowany do młodych poetów Jesienny Turniej Jednego Wiersza . Inne były dość kameralne, jak wyreżyserowany przez Stanisława Brejdyganta i z udziałem Anny Chodakowskiej i Krzysztofa Kolbergera koncert poetycko-muzyczny „Pory roku" lub recitale: Luby Nazarenko z Wilna (w MCKiS przy ulicy Elektoralnej), Elżbiety Wojnowskiej (sala im. W. Lutosławskiego w gmachu polskiego Radia przy ulicy Woronicza).

Tradycyjnie kilka godzin trwało wręczanie nagród im. Witolda Hulewicza. Jak co roku autorem i gospodarzem tej imprezy był wiceprezes ZG ZLP Romuald Karaś. Spośród 107 kandydatów jurorzy wybrali 17 laureatów. W dziedzinie poezji zostali nimi: Zbigniew Jerzyna, Agnieszka Łebska i Romuald Ławrynowicz; za przekłady: Nikos Chadzinikolau, Wojciech Piotrowicz z Wilna, Czesław Seniuk i Bogdan Urbankowski; za powieści: Henryk Sekulski; w literaturze faktu: Anna Słowakiewicz, radiowiec Ryszard Wójcik i dziennikarz Jerzy Surwiłło z Wilna; w aktorstwie: Marta Klubowicz. Za różnorodną wszechstronną twórczość nagrody przyznano Jerzemu Tuszewskiemu z Polskiego Radia, poecie, pisarzowi i tłumaczowi Andrzejowi Tchórzewskiemu oraz propagatorom polskości w Wilnie - Wandzie i Romualdowi Mieczkowskim. Były też dwie nagrody specjalne: dla Hanny i Jana Karwowskich (za stworzenie gospodarstwa propagującego uprawę borówki amerykańskiej) i Krystynie Muchowicz (za wieloletnią działalność w życiu literackim).

Najpiękniejszy czas uczestnicy WJP spędzili chyba jednak w cichym, spowitym dzikim winem, napoleońskim dworku w Petrykozach. Jego właściciel Wojciech Siemion, w uroczej atmosferze, znowu pokazał kunszt recytacji nawet najtrudniejszej poezji. Zagraniczni czytali swe wiersze najpierw w swoich rodzimych językach, zaś Siemion czytał je zaraz po polsku z wydanej antologii XXXI Warszawskiej jesieni Poezji „Mimo milczenia". Polscy poeci prezentowali swoje wiersze sami, a w sumie była to prawdziwa uczta duchowa.

Z pewnością obydwie Jesienie Poezji: Warszawska i Ciechanowska pozostawią trwały ślad w duszach i sercach uczestników. I na pewno zaowocują niedługo nowymi utworami. Bo poezja jest wieczna, przetrwa nawet najtrudniejszy czas, a pożywieniem dla niej są takie dni.

Księgi małych psalmów

Pamiętam z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia spektakl muzyczny w wykonaniu legendarnego już piosenkarza, a właściwie pieśniarza, Czesława Niemena: śpiewał pieśń do wiersza Cypriana Kamila Norwida „Bema pamięci żałobny rapsod". Z własną melodią i instrumentalizacją. Najistotniejsza była jednak dekoracja „obrazu": setki palących się świec. Prostych, grubych gromnic, które wypełniały całą przestrzeń niemal po horyzont. Widok był osobliwy, wręcz niesamowity. Robił wrażenie. Palące się świece były wręcz elementem pieśni. Właśnie świece. Nie jedna, nie dwie świece, ale cała ich masa. Mnóstwo. Tak wiele, że właściwie jedna więcej, jedna miej, a nawet dziesięć więcej, dziesięć mniej, nie miałoby żadnego znaczenia.

Obraz tamtych świec, potęgujących wrażenia, powstające w czasie słuchania wiersza Norwida z muzyką Niemena, kojarzy mi się z „obrazem" utworów Wiesława Janusza Mikulskiego, zawartych w tomach „Opadanie czasu" i – gdy piszę te słowa: czekające jeszcze na „zejście" z maszyn drukarskich – „Krajobrazy ciszy". Mikulski – jeden z ciekawszych poetów mieszkających w Ostrołęce – był zaproszony na Ciechanowską Jesień Poezji. Z krótkich „jesieniowych" prezentacji trudno poznać jego twórczy nurt, niemniej z wydanych dotychczas książek i licznych prezentacji prasowych (a było ich coś kilkaset w blisko 200 tytułach krajowych i zagranicznych) łatwo widać, iż pasjonuje go głównie tematyka religijna, a właściwie katolicka. Nie jest to jednak stricte poezja metafizyczna, choć i taką definicją można by ją „zaszufladkować". Jego wiersze – modlitwy – proste, ascetyczne „świece", zapalone na ołtarzu poezji w hołdzie i podzięce Bogu, robią wrażenie w swej liczebności. Jeden, dwa wiersze – z pewnością nie zrobiłyby na czytelniku większego wrażenia, w swej mnogości – muszą!

I cały ich „obraz" musi wywoływać szacunek dla twórczości W.J. Mikulskiego, który podjął poetyckie dzieło uczynienia wielkiej modlitwy, coś jakby księgi małych psalmów.

Wiesław Janusz Mikulski jest z wykształcenia teologiem – katechetą, naucza religii katolickiej młodzież z ostrołęckich szkół. Z pewnością swoją misję chce wypełnić słowem dydaktyka. I trudno się dziwić, że będąc człowiekiem głęboko religijnym, a jednocześnie poetą – a więc z pełnią wrażliwości i wyobraźni – angażuje te przymioty jako swoiste dopełnienie swej misji. Jest w tym najpewniej jakaś głęboka potrzeba, imperatyw nieomal – rozmawiania ze Stwórcą własnymi słowami. Skoro Stwórca dał mu ten dar...

Nie daje się jednak znaleźć większych paraleli między twórczością W.J. Mikulskiego, prezentowaną w niniejszym tomie, a poezją księży katolickich, tak ostatnio lansowaną przez wydawców, kreujących kulturę katolicką, w tym katolicką literaturę a więc i poezję. Poezję metafizyczną bądź wręcz dogmatyczno – teologiczną, stale zmierzającą do potwierdzenia praw ewangelicznych względnie teologicznych dogmatów, stale nakazującą, pouczającą – bodaj w podtekście. Z poezją Mikulskiego jest inaczej. Mikulski powiada o sobie, że jest poetą polskim – i po prostu jako poeta modli się. Modli się w pokorze, jak ewangeliczny celnik. Dziękuje Bogu za wszelkie dobro, jakie Bóg mu zesłał, prostemu, grzesznemu człowiekowi. I nawet nie prosi o nic innego, jak tylko o łatwiejsze znalezienie drogi do Boga . Stwórca, w swej nieskończonej mądrości, wie co jest dobre dla poety Mikulskiego i jeśli w swej dobroci zechce mu ofiarować – to ofiaruje.

Jeśli nawet w wierszowanych modlitwach poety z Ostrołęki dostrzegamy priorytety moralne i konieczności – nie okazuje ich Mikulski przez kazania, przez nakazy i zakazy. Nie ma w wierszach natrętnej dydaktyki, publicystyki. Mikulski po prostu daje przykład. Przykład wiary i działania. Kto chce – niech go naśladuje. Inaczej niż chociażby u księdza Jana Twardowskiego, poety przecie wybornego, który gdy jednak pisze: *Nie przyszedłem Pana nawracać* – to przecież od razu wiemy, że chodzi mu właśnie o nawracanie bądź o

przekonywanie wątpiących. Nie chcę, broń Boże, porównywać poetyki Jana Twardowskiego z poezjowaniem Mikulskiego, ale wykazać, że mimo podobnego powołania – do celu prowadzi inny trakt, inna ścieżka. Poeta z Ostrołęki nikogo nie przychodzi nawracać, nikogo nie chce pouczać. On się modli, on relacjonuje cele i motywy swego postępowania, mówiąc jednocześnie Czytelnikowi: Robię to z podziwu i miłości do Boga, z miłości do ludzi. Kto chce i potrafi, niech też się modli, a ludzi kochać naprawdę warto. Są przecież jądrem stworzenia. A czy boskiego, czy ziemskiego, ewolucyjnego – to przecież nie ma żadnego znaczenia.

I nawet jeśli czasami z sarkazmem bądź goryczą mówi „my", chcąc pokazać wady i słabości ludzkie – to bije się również w swoje piersi. Ale nie piętnuje, nie potępia, raczej namawia do przemyśleń, do zastanowienia, rozumiejąc, że ewentualne karanie i nagradzanie należy do Stwórcy, a on jest nieskończenie dobrotliwy.

Już same wiersze – modlitwy przyniosą uspokojenie duszy. *Pod drzewem mojej poezji znajdziesz cień w upalny czas* – obiecuje autor. Rzeczywiście jest w niej jakaś silna pogoda przeżywania.

I to właśnie jest oryginalne w poezji Mikulskiego. Poeta odszedł od cyzelowania wierszy, formułuje frazy wyjątkowo prostym językiem, czyni z utworów proste świece, gromnice, które nie mają być ozdobami, bo cel ich jest głębszy.

W poezji polskiej dążenie do prostoty, wręcz surowości, miało swoich wielkich i dużych. Żeby znów nie odwoływać się do wspomnianego już Norwida, bo to mistrz wielki i odległy w czasie, wspomnę poetę bardziej współczesnego Stanisława Swena Czachorowskiego, który wręcz „odsławiał" swoje utwory, czyniąc z nich swoiste skróty myślowo – wyobraźniowe, Oczywiście Czachorowski i Mikulski to znowu dwa różne poetyckie światy, ale można się pokusić o poszukanie pewnego wspólnego mianownika. Mimo iż Mikulski w swoim dążeniu do prostoty nie zawsze rezygnuje z wielości słów. Czasem wręcz przeciwnie, ociera się o banał – dążąc do lepszego zrozumienia swoich przesłań przez czytelnika. Tak naprawdę w codziennych zachowaniach i

wzajemnych kontaktach bywamy przecież banalni, więc czemu obrazująca je poezja ma uciekać od tej prawdy?

Z pewnością ostrłęcki poeta chciałby, żeby jego poetyckie, modlitwy i przypowieści trafiły do modlitewnego repertuaru wiernych kościoła katolickiego, żeby stały się powszechną własnością. By uczyły ludzi modlić się, czyli rozmawiać z Bogiem, a także rozmawiać z ludźmi, jak czyni to sam Mikulski. Może do powszechności trafi bodaj kilka jego utworów, bodaj jeden. Wierzmy w to. Czy dziś nazwisko księdza Karola Antoniewicza komukolwiek cokolwiek mówi? Z pewnością bardzo niewielu. Jedynie znawcy literatury polskiej wiedzą, że ten żyjący w początkach XIX stulecia duchowny był autorem pięknej pieśni – modlitwy „Chwalcie łąki umajone". A przecież sama pieśń śpiewana jest we wszystkich kościołach i przydrożnych figurkach, w czasie majowych nabożeństw. Już przez ponad 150 lat. Czy Wiesław Janusz Mikulski napisał już swoje „Chwalcie łąki umajone"? Może jeszcze nie, ale z pewnością napisze.

Książki Mikulskiego przynoszą, poza modlitwami, również inne poetyckie cykle i utwory. Poświęcone osobom bliskim – żonie, uczniom, po prostu ludziom, bo ludzie, nawet nieznani, są poecie bardzo bliscy w duchu przykazania o miłości bliźniego. Jego przestrzeganie ogromnie ludzi do siebie zbliża. Utwory te, inne w celu i tonacji – właściwie nie odbiegają w wyrazie i nastroju od poetyckich rozmów z Bogiem. Prostota i surowość nie jest w nich pełna dziękczynienia, nie jest wypełniona podziwem dla Stwórcy, ale ciągle afirmacją pokory, pogody ducha, obowiązku nadziei i miłości. Obowiązku wobec bliźnich.

Z mojej stajni pegaza
wyprowadzam gorące bochny
poezji (...)
miłości
rozdaję je po świecie

powiada poeta, akcentując swoje obowiązki, biorące się stąd, że jest właśnie poetą. Ma obowiązek wobec swej poetyki, czyli wobec swego pegaza. Musi o niego dbać, zapewnić mu ciepłą stajnię.

Zarazem jest to obowiązek wykorzystania poetyckiej wrażliwości i wyobraźni dla przekazywania miłości. Tak po ludzku, po prostu, jak rozdaje się ciepły, świeży chleb głodnym ludziom...

I to jest jądro i zarazem siła poezji Mikulskiego.

• **Stefan Żagiel** – dziennikarz, poeta z Ciechanowa, członek Związku Literatów Polskich w Warszawie.

Spis treści:

Od redakcji 3

ZBIGNIEW LISOWSKI
„Zbrodnie nowe przyjdą stare karać"
czyli Krasiński i Reymont o rewolucji 6

WANDA GOŁĘBIEWSKA
*** 23

HENRYK KACZOROWSKI
Powrót Zygmunta Krasińskiego 24

EWA STANGRODZKA
W oficynie 43

JANUSZ KRÓLIK
Ojciec i syn 44

TERESA KACZOROWSKA
Miłośnik ziemi rodzinnej 51
Ostatniemu ordynatowi 69

ALFRED BORKOWSKI
Opin i Wojewodzianka 71

JANINA BONIAKOWSKA
Ślady I 83
Ślady II 83
Ślady III 84

IGOR KANTOROWSKI
*** 85
*** 86

W międzyczasie 87

BARBARA KRAJEWSKA
Synu mój 88
Usta 88
Niepokój 89
Ręce matki 90

GRZEGORZ ROSZKO
*** 91
Do mistrza Jana 91
Na niespokojnej równinie 92
Okruchy myśli 92

HANNA JOLANTA WIŚNIEWSKA
Jesienny las 98
Sarny 99
Zachód nad Rumianem 99

ANNA CHEŁCHOWSKA
Upić się Chopinem 101

STEFAN CHOJNOWSKI
Rodzinne strony 103
Sona 104
Pożegnanie poety 104

ZENONA CIEŚLAK- SZYMANIK
Czas przeszły 106
Szukamy 106
Ktoś o Nim zdecydował 107

JERZY STANISŁAW CZAJKOWSKI
Nieskończoność 108
Nie – powrót 108

Wigilijne scherzo 109

IZA FILIPEK
*** 111
*** 111
*** 112

JERZY FRYCKOWSKI
*** 113
Kursk 114
Niewielka noc 115

ELŻBIETA JUSZCZAK
Pieśń morska 116
*** 116
Cmentarz 117

ADOLF KRZEMIŃSKI
*** 119
*** 119

JÓZEF PLESS
Radość zbudzonych ptaków 120
Adam 121
gdy odejdę 122

MAŁGORZATA PŁOSZEWSKA
*** 124
*** 124
*** 125

LESŁAW JAN URBANEK
Warkot koszmaru potępienia 126
Kuszenie I 127
Jesień z roku na rok przychodzi coraz wcześniej 127

ADAM ZAŁĘSKI
Ikar losu 129
Głęboka rzeka 129
Płonąca żagiew 130

WIESŁAW ZIELIŃSKI
Zabawa w dorosłych 132
Własne narodziny 132
Przemijanie 133

TERESA KACZOROWSKA
Sztuka ze źródeł 134
Poezja jest wieczna 137

STEFAN ŻAGIEL
Księgi małych psalmów 142

ISBN 83-915905-8-5